

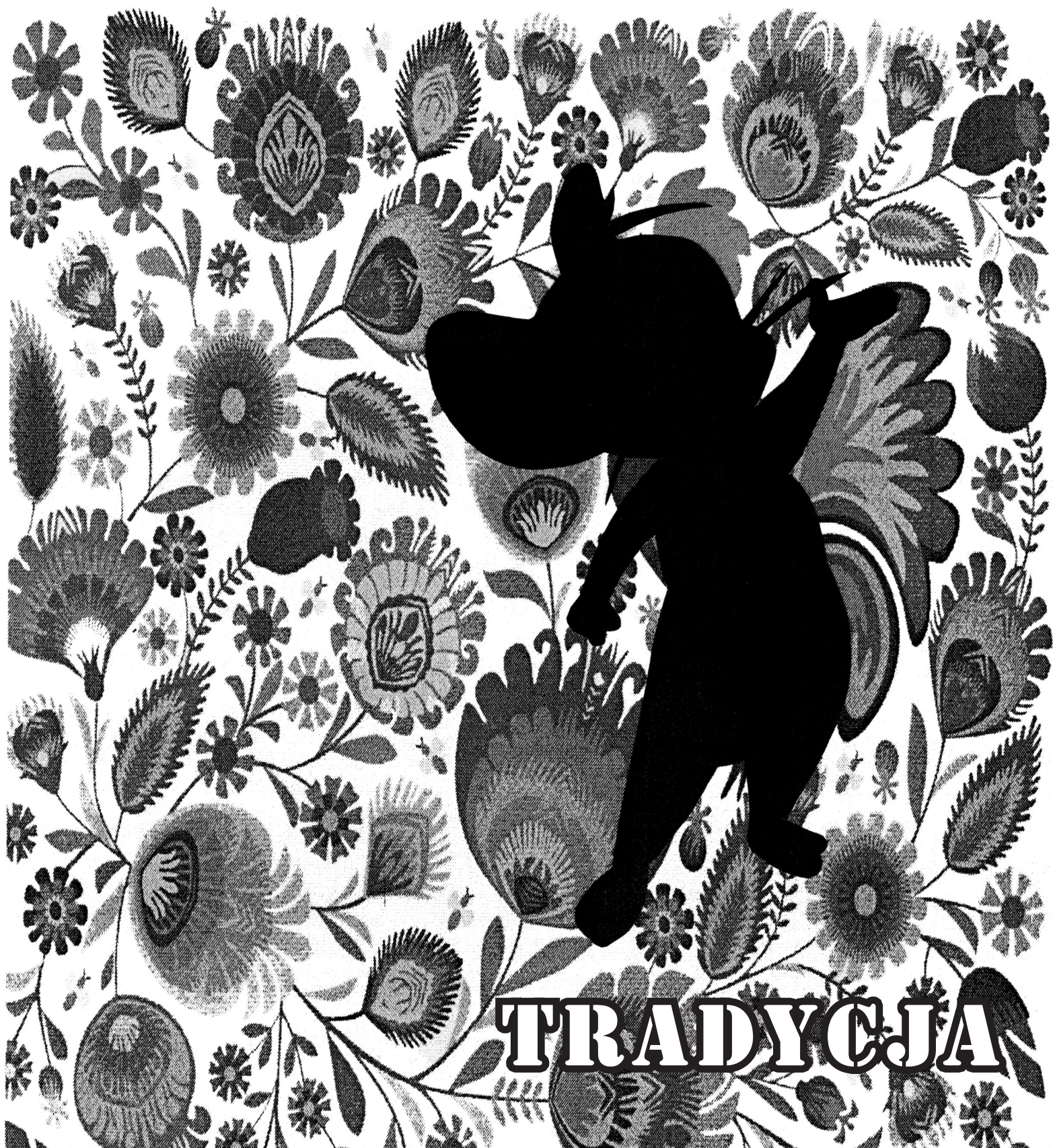
MYSZLICIEL

kwartalnik interdyscyplinarny KNS MISH

NR 2 (3)/KWIECIEŃ - CZERWIEC 2011

ISSN 2082-4408

EGZEMPLARZ BEZPŁATNY



TRADYCJA

W n u m e r z e :

Okiem Mystrza

dr hab. A. Dziuba, Łacina a tradycja..... 3

Mysz miejska

J. Głaz, Wydarzenia kulturalne w Pradze 6

A. Zbiciak, Festiwal Kody 9

A. Daniewicz, II Warszawskie Targi Książki..... 10

Przemyslenia

M. Rozmysł, Liberatura..... 11

M. Kotyl, Tradycja i język 12

M. Gołoś, Współczesne problemy nauki..... 13

J. Prochowicz, Tradycyjnie? Nie, dziękuję 15

A. Zbiciak, Kary na honorze 16

K. Malecka, Słowiańskie święto miłości 18

E. Żydek, Dwa oblicza mszy 20

E. Drozdowska, Muzyka afrykańska 22

A. Radziszewska, Obyczaje w Japonii..... 24

E. Sobiecka, Nowe oblicza sztuki..... 27

Z umysłu otwartego... na przestrzał

H. Kistelska, Polskie rozdwojenie jaźni..... 28

Myszkując

W. Bryda, „Wyzwanie. Szczęniaki” Llosy 29

M. Parczyńska, Muzyczność w balladach Leśmiana 30

Z mysiej nory

Sukienka ze spodni taty Romona z Sabiną Piątkowską..... 33



Drodzy Czytelnicy!

Przed Wami trzeci już numer „Myszliciela”. Tym razem skupiliśmy się na tradycji – zarówno tej dobrej, jak i złej, tej, która jest nam wszystkim bliska i tej nieco bardziej odległej. Podeszliśmy do tego hasła z możliwie każdej strony. Mamy nadzieję, że będziecie zadowoleni z naszej pracy.

Jako że jest to ostatni numer „Myszliciela” w tym roku akademickim, pragnę Wam życzyć pomyślnie zdanej sesji letniej oraz udanych i słonecznych wakacji. Chyba w tym roku wszyscy na nie wyjątkowo zasłużyliśmy. Spotkamy się ponownie po wakacjach. Nieustannie namawiam Was do współpracy. Redakcja, mimo wakacji, wciąż będzie dostępna pod adresem mailowym.

Życzę Wam przyjemnej lektury. Mam nadzieję, że czytanie „Myszliciela” stanie się niebawem (a może już się stało) Waszą tradycją.

Redaktor naczelny „Myszliciela”

Wojciech Bryda

MYSZLICIEL

kwartalnik interdyscyplinarny KNS MISH

ISSN 2082-4408 nakład: 500 egz.

adres: Katolicki Uniwersytet Lubelski Jana Pawła II

Al. Raławickie 14, 20-950 Lublin, pok. CN-P03

e-mail: myszKUL@gmail.com



Redaktor naczelny: Wojciech Bryda (wojciech90@gmail.com)

Z-ca redaktora naczelnego: Karolina Malecka

Sekretarz: Anna Szymańska

Redakcja: Joanna Głaz, Elżbieta Drozdowska, Jolanta Prochowicz, Helena Kistelska, Ewa Sobiecka, Justyna Kulak, Paulina Wiejak

Korekta: Anna Radziszewska, Małgorzata Stolarska, Katarzyna Mazur, Michał Rozmysł, Wojciech Bryda

Współpraca: Monika Parczyńska, Anna Daniewicz, Ewa Żydek, Adrian Zbiciak, Mateusz Gołoś, Marcin Kotyl

Ilustracje: Anna Moroz (okładka), Magda „Anlaja” Mazur (s. 2)

Skład i łamanie: Wojciech Bryda

Kontakt z czytelnikami: Jolanta Prochowicz

Druk: WSCHÓD Agencja usługowa, Lublin ul. Długa 5, www.wschod.lublin.pl

DR HAB. AGNIESZKA DZIUBA

CO WSPÓLNEGO MA ŁACINA Z TRADYCJĄ?

„Disce puer Latine, ego te faciam mościpanie” [Ucz się, chłopcze, łaciny, a ja cię zrobię panem] – miał powiedzieć król Stefan Batory do ucznia szkoły zamojskiej. Jakie jest znaczenie łaciny obecnie? Czy warto ją poznawać?

Łacina była początkowo językiem niewielkiej społeczności zamieszkującej Lacjum, z Rzymem leżącym w jego centrum. Jednakże dzięki konsekwentnej i agresywnej polityce podbojów prowadzonej przez jego mieszkańców, stała się językiem najpierw całej Italii, potem Europy i tych części świata śródziemnomorskiego, gdzie zawędrowały legiony rzymskie. Choć język i kulturę rzymską niosły ze sobą „na ostrzach mieczy” wojska zdobywcy, to jednak nie ma żadnego świadectwa na stosowanie przemocy wobec podbijanej ludności i na narzucanie siłą obowiązku posługiwania się językiem zwycięzców. Wielonarodowe i wielokulturowe *Imperium Romanum* naturalnie asymilowało język łaciński, którego znajomość ułatwiała podbitej ludności urzędnicze i ekonomiczne kontakty z Rzymem. O tym, że Rzymianie nie narzucali mieszkańcom podbijanych prowincji swojego języka, świadczy hellenizacja kultury rzymskiej, o którym to fakcie Horacy pisał w wierszu *Graecia capta ferum victorem cepit et artis intulit agresti Latio*¹. Z czasem doszło do wyraźnego rozdziału wpływów języka łacińskiego i greckiego, który był ściśle związany z rozpadem cesarstwa rzymskiego na łacińskie Cesarstwo Zachodnie i greckie Cesarstwo Wschodnie ze stolicą w Konstantynopolu. Mimo że Cesarstwo Zachodnie upadło w 476 roku po Chrystusie, to jednak *Latinitas* (kultura budowana na języku łacińskim) przetrwała, co więcej, stała się językiem zachodniego chrześcijaństwa. I to Kościołowi należy zawdzięczać przetrwanie łaciny w czasie zamętu dziejowego, gdy rozpadał się świat starożytny. Symbolicznym gestem przejęcia przez Kościół tradycji *Latinitas* było przybranie przez papieża Leona I, w połowie V wieku, tytułu *Pontifex Maximus*. Był to wcześniej oficjalny tytuł najwyższego kapłana, odpowiedzialnego za najważniejsze kultury państwowe w Rzymie. Z czasem nowa, świecka władza na kontynencie europejskim, również sięgała po łacinę jako język dyplomacji, prawa i dokumentów królewskich. Język Cyserona i Horacego dostosowywany do potrzeb średniowiecznych monarchii zmieniał się i ewoluował. Wielki rozkwit łaciny przypadł na czasy tzw. odrodzenia karolińskiego (IX w.), kiedy to „tożsamość Zachodu konsoliduje się wokół idei *Latinitatis*, wcielanej w życie w podwójnym kulturowym i religijnym wymiarze”². Późniejsze czasy, mimo że



Czy łacina to już tylko zabytek? Tu: fragment Ratusza w Poznaniu

przyniosły poważne zmiany na mapie Europy, nie zmieniły faktu, że Europa Zachodnia oparła swoją kulturę na silnych fundamentach tradycji łacińskiej.

Polska, chociaż nie została podbita przez legiony rzymskie, to jednak przez świadomy wybór pierwszego historycznego władcy – Mieszka I, który przyjął w 966 roku chrzest w obrządku łacińskim, znalazła się w kręgu oddziaływania łacińskiej kultury Zachodu. Od tego momentu język Rzymian i średniowiecznej Europy współuczestniczy w tworzeniu polskiej kultury. Proces ten odbywa się początkowo powoli, potem coraz szybciej, by w czasach renesansu próbować nawiązać rywalizację z wykształconym Zachodem.

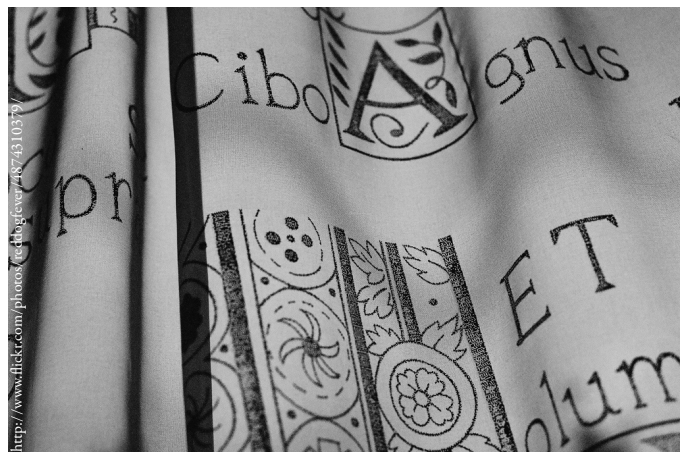
Odrobina etymologii

Oddziaływanie języka łacińskiego na europejskie języki narodowe (w tym także język polski) widoczne jest bardzo dobrze w ich zasobach słownikowych. Jak wiadomo, nie tylko grupa języków romańskich ma bardzo wiele słów proveniencji łacińskiej. Także ponad połowa wyrazów języka angielskiego ma korzenie w mowie mieszkańców Wiecznego Miasta. Nie inaczej wygląda sprawa z językiem polskim. Wiele słów, którymi się dziś posługujemy, wywodzi się z łaciny. Także wyraz **tradycja**, który słusznie kojarzy się z pielęgnowaniem obyczajów, zasad postępowania, elementów kultury i z przekazywaniem ich treści z pokolenia na pokolenie, pochodzi z języka łacińskiego. Wywodzi się od łacińskiego rzeczownika rodzaju żeńskiego III deklinacji – *traditio*, *-onis*, ukutego, jak wiele abstraktów, od czasownika.

1 Podbita Grecja podbiła dzikięgo zwycięzcę i wniosła sztukę do wieśniaczego Lacjum. Horacy. Epist. II, I, w. 156-157.

2 A. W. Mikołajczak, *Łacina w kulturze polskiej*, Wrocław 1998, s. 39.

W tym wypadku jest to czasownik *trado*, -ere, który oznacza ‘oddać’, ‘przekazać’, ‘udzielić’, ‘pozostawić w spuściźnie’. Mieszkaniec Rzymu, gdy miał na myśli treści, które dla nas kryją się pod określeniem **tradycji**, nie używał jednak pojęcia *traditio*, ale frazę *mores maiorum*, czyli w dosłownym znaczeniu ‘obyczaje przodków’.



Łacina wiąże się z wielowiekową tradycją

Trochę kultury

Zwrot *mores maiorum* pojawia się w wielu tekstach zawsze w opisie sytuacji uroczystych i podniosłych momentów dziejowych. Często stosowany był w debatach politycznych i mowach sądowych jako argument ostateczny i kończący wszelkie dyskusje. Nie ma więc wątpliwości co do doniosłej roli, jaką wyrażana tym pojęciem tradycja pełniła w społeczeństwie antycznym. Pojęcie *mores maiorum* jest tak zakorzenione w kulturze rzymskiej, że każdy poważniejszy tekst jej poświęcony musi odwołać się do owych „obyczajów przodków”. Rzymianie nie mieli konstytucji, ale odczuwali głęboką cześć dla dorobku intelektualnego swoich przodków, których mądrość i nieomyślność traktowali jak dogmat³. *Mores maiorum* obejmowały swoją kompetencją niepisane prawa i ustalenia dotyczące sfer życia politycznego, społecznego, religijnego i ekonomicznego. Normowały stosunki rodzinne i towarzyskie. Dotyczyły wszystkich aspektów życia jednostki i ogółu. Szacunek dla tradycji, pielęgnowanie i przestrzeganie wszelkich jej przejawów powodowało, że była ona stale obecna w życiu Rzymianina. Towarzyszyła mu od dziecka, gdyż w rzymskim domu, w atrium stały szafki, w których rodzina z dumą przechowywała *imagines* (pośmiertne maski przodków), a inskrypcje umieszczane pod nimi przypominały o dokonaniach zmarłego. W czasie pogrzebu członka rodziny jego przyjaciele, krewni, czasem wynajęci aktorzy, nieśli maski w orszaku żałobnym. Im więcej masek przodków niesiono w czasie takiego pochodu, tym znacniejsza była rodzina, co oznaczało wyższą rangę w społeczeństwie i dawało żyjącym członkom rodu większą szansę zdobycia liczących się urzędów. Młodzież rzymska – przyszli zdobywcy świata, czytania i deklamowania uczyli się

nie z podręczników tworzonych na potrzeby edukacji, lecz na tekstach literackich, takich jak *Odusia* Liwiusza Andronika, będąca parafrazą poematu Homera lub na eposie historycznym Enniusza o wojnie z Hannibalem. Dorośli mężczyźni, gdy po trudach wojennych i zwykle burzliwych obradach senatu, co traktowano jako konieczny do wypełnienia obowiązków – *negotium*, wracali do domu, często spędzali czas nie na biernym odpoczynku czy jałowych rozrywkach, jak uctowanie, gry w kości czy w piłkę, ale na lekturze tekstów autorów greckich lub rzymskiej historiografii (*otium cum dignitate* – godny odpoczynek). Nic dziwnego, że dla Rzymianina tradycja była najważniejszym drogowskazem w życiu i do *mores maiorum*, jak wspomniano wyżej, odwoływano się zawsze i wszędzie. Zwyczaje i prawa przodków traktowano jak żywy instrument, potrzebny w życiu codziennym. Były stale interpretowane i dostosowywane do każdej zaistniałej sytuacji, nawet najbardziej kuriozalnej.

Jeszcze raz nieco historii

Mores maiorum były przestrzegane i pielęgnowane nie tylko w republice, ale także w cesarstwie. Nie bez powodu tyle emocji wzbudziła decyzja cesarza Gracjana (382 rok) o usunięciu z senatu rzymskiego posagu i ołtarza bogini Wiktorii. W jej obronie kilkakrotnie wypowiadał się w mowach do cesarza Walentyniana II ostatni wybitny mówca i polityk pogańskiego Rzymu – Kwintus Aureliusz Symmachus. Przegrał, bo za cesarzami stał wielki autorytet Kościoła – św. Ambroży. Wyrzeczenie się przez chrześcijański Rzym tradycji pogańskich (oprócz usunięcia ołtarza Wiktorii zabroniono też prastarego kultu Westy) było zapowiedzią agonii starożytnej cywilizacji opartej na *mores maiorum*. Rzym, odcięty od korzeni, pozbawiony tradycji, przestał istnieć. Przetrwał jedynie jego język, początkowo w zmienionej, dostosowanej do prymitywnej cywilizacji barbarzyńskich zdobywców „wulgarnej” (czyli ludowej) postaci. Łacina wyszła jednak zwycięsko z owej dziejowej burzy dzięki temu, że stała się oficjalnym językiem Kościoła.

Jeszcze raz trochę kultury

Jak wspomniano w pierwszym akapicie, łacina na ziemiach polskich pojawiła się wraz z powstaniem państwa polskiego. Początkowo jako język Kościoła, z czasem jej ekspansja objęła wszystkie dziedziny intelektualnej aktywności człowieka. Przez wieki trwała w kulturze polskiej jako strażniczka tradycji i depozytariusz zdobyczy intelektualnej. Nikogo nie dziwi fakt, że Mikołaj Kopernik napisał swoje przełomowe dzieło astronomiczne w języku Cicerona (*De revolutionibus orbium coelestium*), że po łacinie pisali poeci tacy jak: Kochanowski, Dantyszek, Janicki. Maciej Kazimierz Sarbiewski w tym języku pisał nie tylko wiersze, ale też odbijające się szerokim echem w Europie prace teoretyczno-literackie. Po łacinie tworzyli Modrzewski, Orzechowski tak, jak wielu innych historyków. O ile w renesansie i baroku naturalnie używano języka dawnych Rzymian, o tyle pisarze kolejnych epok nie porzucając znajomości mowy Wergiliusza i Horacego, tworzyli, co prawda po polsku, ale często odwołując się do kultury antycznej. Wiele pomników naszej kultury nie powstałoby w takim kształcie, jaki znamy, gdyby

³ *Mores maiorum* jako pojęcie fundamentalne dla kultury rzymskiej ma bardzo bogatą bibliografię. Najważniejsze prace poświęcone temu zagadnieniu przytacza Henriette van der Blom w książce *Cicero's Role Models. The Political Strategy of a Newcomer*, Oxford 2010, s. 12-13.

nie docenianie przez ich twórców spuścizny antycznej. Jako przykład wystarczy podać jeden tytuł. Poemat narodowy Polaków – *Pan Tadeusz* został napisany przez zainspirowanego eposami Homera i *Eneidą* Wergiliusza profesora literatury łacińskiej z Lozanny. Adam Mickiewicz był filologiem klasycznym.

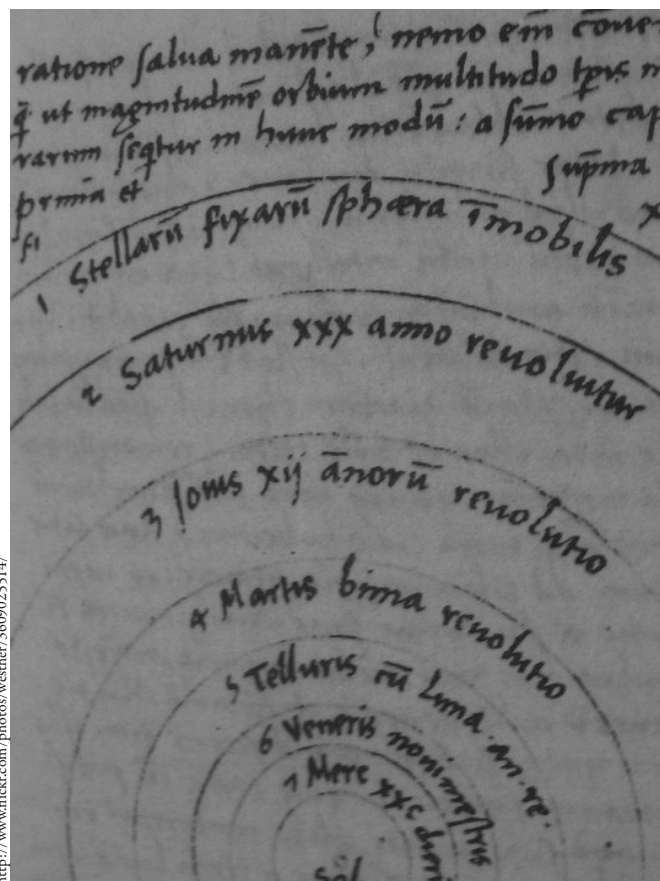
Echa znajomości języka łacińskiego i kultury antycznej rozbrzmiewają w pracach tak wielu wybitnych polskich twórców, że ich wymienianie zajęłoby resztę wolnych szpalt tego numeru. Dlatego też przywołam tylko tych autorów, z którymi uczniowie mają styczność na lekcjach polskiego już w szkole podstawowej: Słowacki, Sienkiewicz, Orzeszkowa, Wyspiański, Tuwim, Herbert, Szymborska, Parandowski.

Szczypta goryczy

Polska młodzież uczyła się łaciny od średniowiecza. Początkowo w szkołach przykasztońskich, potem w szkołach otwieranych w wielu miejscowościach i miasteczkach. Łaciny uczono w kolegiach jezuickich, prywatnych gimnazjach i szkołach publicznych. Znajomość tego języka była nierozdzielnie związana z wykształceniem. Świadczy o tym chociażby tytuł niniejszego artykułu. Znajomość łaciny nie tylko ułatwiała awans społeczny, co obiecywał Stefan Batory nieznanemu z imienia uczniowi, ale była koniecznym elementem wykształcenia każdego męża stanu i dostojnika kościelnego. W czasach zaborów była swego rodzaju szyfrem, którym posługiwali się pisarze w dialogu z czytelnikiem⁴. Dla inteligencji XIX i XX wieku dobra znajomość języka Cicerona, swobodne cytowanie fragmentów jego mów, wersów poezji Wergiliusza, Horacego czy Owidiusza było rzeczą zupełnie naturalną. Każdy wykształcony człowiek znał łacinę, chociaż jej poznawanie czasami okupione było dużym trudem i ogromnym stresem, o czym czytamy chociażby w *Ferdynurce* Gombrowicza:

„Śmiertelna cisza zaległa w klasie, gdy otworzył dziennik – rzucił rozjaśnionym okiem ku górze listy i wszyscy co na A, zadrżeli – rzucił okiem na dół i wszyscy na Z zamarli ze strachu. Gdyż nikt nic nie umiał, zapomniano odpisać łacińskiego tłumaczenia z powodu dyskusji i oprócz Syfona, który w domu sobie przygotował lekcję i mógł na każde ządanie, nikt nie mógł.”⁵

Obecnie, gdy Polska należy do Unii Europejskiej, a od 1 lipca tego roku ma objąć jej przewodnictwo, obserwuje się bezlitosną kampanię na rzecz wyrugowania łaciny z polskiego szkolnictwa. Ministrowie odpowiedzialni za szkolnictwo średnie przymierzają się do likwidacji matury z tego języka i, jak się nieoficjalnie dowiadujemy, mają na to zgodę środowiska uniwersyteckiego. Przy obecnym koniunkturalizmie polskiej szkoły będzie to równoznaczne z wyeliminowaniem przedmiotu *język łaciński i kultura antyczna* ze szkół w ogóle. Znajomość języka, który obecny w kulturze europejskiej od tysiącleci, w Polsce od wieków, zaniknie za kilka dekad. To, czego nie udało się zrobić komunistycznym władzom w latach pięćdziesiątych, gdy w 1952 roku zlikwidowano studia filologii klasycznej na uniwersytetach w Poznaniu, Toruniu i Łodzi, ale już w 1957 roku otwarto je z powrotem,



Mikołaj Kopernik O obrotach sfer niebieskich pisał w języku Cicerona. Powyżej fragment *De revolutionibus orbium coelestium*

z powodzeniem przeprowadzą władze Polski niepodległej. Język, który nasi średniowieczni przodkowie (*maiores nostri*) przejęli od wyżej stojącej w rozwoju kulturalnym Europy i w renesansie swoją otwartością i pragnieniem twórczego naśladownictwa Zachodu (*imitatio i aemulatio*) z powodzeniem wprowadzali do naszej kultury, dzisiaj odchodzi do lamusa. Mury uniwersytetów opuszczają zastępy młodych „humanistów” nieznających w ogóle łaciny, a w magazynach bibliotek, muzeów, na półkach archiwów leżą zabytki kultury polskiej pisane w naprawdę martwym języku⁶. Przykład Rzymian, dla których *mores maiorum* były najważniejszym źródłem inspiracji, a ich pielęgnowanie gwarantem tożsamości, świadczy o tym, że gdy odwrócimy się od tradycji, możemy utracić coś bardzo cennego. Dla nas Polaków są to chociażby nieprzetłumaczone jeszcze na język polski pisane zabytki kultury.

Jesteśmy oto świadkami barbaryzacji kultury polskiej. Gdy pozbawimy i tak przecież niewielkiej grupy Polaków znajomości łaciny i kultury antycznej, odetniemy się od naszej wielowiekowej tradycji. Łacina stała się pomostem, przerzuconym między barbarzyńską Polską a cywilizowaną Europą przez Mieszka I i jego doradców. Teraz z pełną świadomością ten pomost zrywamy. Ale czy na pewno mamy świadomość wszystkich skutków tego czynu? ■

4 A. W. Mikołajczak, dz. cyt., s. 252-261.

5 W. Gombrowicz, *Ferdynurka*, wyd. 2, Kraków 1989, s. 55-56.

6 Julian Tuwim napisał o łacinie: *Jakiż to martwy język, jeśli nie więdnąc przetrwał tysiąclecia*. J. Tuwim. *Łacina*. w. 19-20.

JOANNA GLĄZ

MYŠ MĚSTSKÁ

KORESPONDENCJA ZAGRANICZNA

Czy Praga (ta czeska) to miasto kulturą żyjące? Tęgie głowy debatuja nad tym od lat, a mi wystarczyło kilka miesięcy, by wyrobić sobie na ten temat zdanie.

Powstanie kolejnego numeru „Myszlicieła” zbiegło się w czasie z moim wyjazdem (tj. redaktorki działu Mysz miejska) do stolicy Czech na (jak to mówi młodzież) „Erasmusa”. Z racji na to, że uczestniczenie w kulturze miejskiej na odległość jest dość trudne, a także, że Praga dostarcza inspiracji do pisania aż nadto, powstał pomysł na specjalne, jednorazowe, ekskluzywne, limitowane wydanie tej rubryki.

Tęgie głowy od billboardów



Czy czeskie billboardy nie na darmo informują, że Praga jest miastem kultury?

Jedną z pierwszych rzeczy, które zapadły mi głęboko w pamięć po przyjeździe do Pragi, były billboardy z komunikatem „Praha – město kultury”. Stoja one w wielu miejscach, głównie na osiedlach przy obrzeżach miasta. Stawiają część projektu o tej samej nazwie, który powstał w 2004 roku. Od tego czasu jego twórcy debatuja nad tym, co można by usprawnić w życiu kulturalnym miasta, jak wyjść do ludzi z kulturą. Stąd te plakaty. Proste i genialne! (Nie ironizuję, nic a nic).

Ale wbrew absurdalności tego, co dzieje się tutaj w sferze, powiedzmy: dyskursu, kultura w Pradze ma się świetnie. Nie wiem, czy jej kondycja powinna nas wprawiać w zakłopotanie, ale sądzę, że jak na stolicę ponad dziesięć milionów kraju Czesi nie mają się absolutnie czego wstydzić. Postaram się pokrótce opisać najciekawsze wydarzenia, w których mogłam uczestniczyć, lecz uprzedzam, że z racji na ograniczone możliwości finansowe i czasowe często musiałam wybierać między doznaniem wyższymi i niższymi, a niekiedy (a może zazwyczaj) mój plebejski gust zwyciężał...

Co Čech, to muzikant

Czesi muzykę lubią, słuchają jej dużo i (znów muszę odwołać się do ich niezbyt wielkiej liczebności) jak na swoje warunki mają jej ogrom. Wystarczy nastawić radio na

przypadkową częstotliwość i jest wielka szansa, że natrafimy na którąś ze stacji grających wyłącznie po czesku. I nie w tym znaczeniu, że dwa razy na godzinę musi być Helena Vondráčková (której Czesi już nie kochają, tak na marginesie).

Jest w tym też pewien podstęp. Słuchając czeskiego radia, nie można oprzeć się wrażeniu, że te melodie są znajome. Z uwagi na utrudnione możliwości w propagowaniu muzyki zachodniej ten sprytny naród wymyślił, że nagra każdy wielki hit muzyki popowej po czesku. I problem z głowy!

Dla miłośników starej *hudby* (czyli muzyki), polecam Radio Impuls, Frekvence 1, Radio Hey, a znajdzie się mnóstwo innych stacji, które lubują się w takich staromodnych klimatach. Dla tych, którzy chcieliby poznać nową czeską muzykę (a tej mają też pod dostatkiem, i to często dobrej jakości), polecam zdecydowanie Expres Radio (można słuchać przez internet). Muzyka odgrywa obecnie bardzo ważną rolę w moim życiu, wiernie towarzysząc mi w czasie długich dojazdów na uczelnię.

To, co lubię najbardziej

Należałoby jeszcze opisać chociaż skrótowno muzykę w mojej ulubionej postaci, czyli koncertowej. Koncertów w filharmonii nie słuchałam (wiem, wiem, wstyd, żal – co poradzę?). Moje ulubione miejsca w Pradze to kluby Roxy i Lucerna oraz Pałac Akropolis. W Lucernie głównie grają stare legendy, w Akropolisie zazwyczaj „młodzi gniewni”, a w Roxy, tzw. zagranica. Bilety przeciętnie w cenie 20-30 złotych, czyli znośnie.



for. Joanna Glaz

Polsko-czeska scena

Pierwszy koncert, który wybrałam, był dość szczególny, ponieważ zawierał w sobie wątek zarówno czeski, jak i polski! Na jednej scenie, tego samego dnia wystąpiły kapele: Vypsaná Fixa i Hey (tak, ten nasz). Zespoły te znają się dość długo, wspólnie zagrali dwie trasy koncertowe, co wpłynęło na umiarkowaną popularność Fixy w naszym kraju i taką samą zespołu Hey w Czechach. To było ciekawe uczucie,

stać w niewielkiej grupie fanów tuż pod sceną, mając świadomość, że oglądanie ich z tak bliska byłoby chyba niemożliwe w Polsce – nawet na początku ich kariery.

Hotelowy hymn

Mňága a Žďorp (również w Lucernie) to już zupełnie inny klimat, inna publiczność, ale przyjemność taka sama. Natrafiłam na ten zespół przypadkiem, słysząc w radiu późną porą piosenkę „*Hodinový hotel*” i z miejsca się w niej zakochałam. Tę piosenkę w Czechach możemy traktować jako ich swoisty hymn. Odśpiewany na kilka tysięcy gardel robi jeszcze lepsze wrażenie. A gdy samemu dołączy się do tego, to już w ogóle ogarnia nas euforia, poczucie dumy i spełnienia życiowej misji. Atmosfera rodzinna, bo na koncert przychodzą kolejne pokolenia Czechów. Zresztą, kapela istnieje już 25 lat. Gdybym miała porównać ten klimat muzyczny do czegoś, to najszybciej przychodzi mi do głowy Elektryczne Gitary, chociaż to też nie do końca. Bo to *Mňága a Žďorp*.

Młodzi perfekcyjni

Ponieważ mój gust muzyczny cechuje niepoprawny wręcz eklektyzm, trzeci z moich ulubionych czeskich koncertów musiał pochodzić z kompletnie innej półki. Tym razem wybrałam się na młodą electropopową formację, z francuskiego nazwaną Cartonnage. Zachęciło mnie do tego kilka piosenek, które słyszałam w *Expresie*, świetny teledysk, a przede wszystkim ujawniająca się wszędzie gdzie tylko można charyzma! Choć oczekiwałam sporo po tym, co widziałam wcześniej w internecie, to ten koncert mnie zaskoczył. Występ był perfekcyjnie dopracowany w każdym detalu, a przy tym wyczuwało się bijącą od każdego z członków zespołu radość z prezentowania przedpremierowych piosenek. Chyba nigdy jeszcze nie byłam na dwóch koncertach – w ciągu jednej trasy artysty, ale tym razem zamierzam zrobić wyjątek.

Drugie tyle mogłabym napisać o koncertach, na których niestety nie byłam, a i tak wiem, że były świetne (np. Szidi Tobiasz, słowacki Longital i Puding Pani Elvisovej) oraz o Tata Bojs.

Czarna wołga przyjechała z Polski

Wystawa „*Folklor atomového věku*”, na którą wybrałam się wraz z grupą czeskich przyszłych socjologów do Muzeum Etnograficznego, pokazywała głównie elementy

szeroko pojętej kultury ludowej XX wieku na terenie ówczesnej Czechosłowacji. Wystawę podzielono na kilka działów, które dotyczyły dziecięcych gier i zabaw, subkultur młodzieżowych, domowego

rękodzieła, zwyczajów wojskowych, tzw. ruchu „trampów” i miejskich legend.

Większość działów była dość przewidywalna. Dzieci niezależnie od szerokości geograficznej mają skłonności do zbieractwa i nadpobudliwości ruchowej, co znajduje odzwierciedlenie w ich ulubionych zajęciach. Z tym że kiedyś zbierały *čůčka* (małe gumowe literki, z których robiło się kolorowy łańcuch; ich nazwa wzięła się od litery C czeskiego alfabetu, na którą podczas zbierania najczęściej się natrafiało) potem pokemony.

Subkultury młodzieżowe są wszędzie tak samo niechlujne, a starsi żołnierze gnębią młodszych w mniej lub bardziej wyrafinowany sposób.

„Trampy” to ludzie lasu – taka jest definicja ekspresowa. Wyglądają jak skrzyżowanie harcerza, żołnierza i hipisa, czyli źle. Mieszkają w lesie, tu też zdobywają pożywienie, mają swój kodeks zasad, hierarchię wartości i pomimo odcięcia od świata całkiem silne poczucie wspólnoty. Mówi się więc o czesko-słowackim fenomenie, który podobno istnieje nadal. Nie mogę potwierdzić, bo żadnego „trampa” nie widziałam. Za mało chodzę po lasach, zbyt rzadko oddalam się od Pragi.

Wśród legend miejskich można było znaleźć te o polkniętej żarówce, Cygankach porywających dzieci czy „skażonych” shake’ach w barach szybkiej obsługi. My też mamy swój skromny wkład w rozwój czeskiego folkloru doby komunizmu, a może ściślej rzecz ujmując – w ich legendy. Popularna opowieść o diable jeżdżącym po mieście w czarnej woldze i porywającym dzieci to może nie nasz pomysł, ale to myśmy się nim podzielili z naszymi sąsiadami.

Polska enklawa za czeską granicą

Pobyt w Czechach to niby pobyt zagraniczny, ale nie do końca. Oczywiście, sporo różnic jest widocznych pomiędzy naszym a ich krajem, ale szoku kulturowego nie ma. Mimo to czasem człowiekowi się zatęskni za czymś swoim, np. za polską kulturą, i tu z pomocą przychodzi prężnie działająca instytucja pod nazwą Instytut Polski w Pradze, do którego dość często wpadałam w odwiedziny.

Nie wiem, jak funkcjonują pozostałe polskie instytuty na świecie, wydaje mi się jednak, że ten praski dużo działa w sferze popularyzacji polskiej kultury. Logo instytutu



Rzeźba „Koń” Davida Černého, zawieszona w patio Pałacu Lucerna. Prócz zabytków architektonicznych mieszczą się tam: pazaż handlowy, kino, bar muzyczny – słowem: ośrodek kulturalny

for. Wojciech Bryła

zdarzało mi się widzieć równie często, co loga instytutów niemieckiego, francuskiego czy austriackiego i to niekiedy nawet podczas wydarzeń, w którym nie dostrzegałam pierwiastka polskiego (np. na koncercie Cartonnage). Ale nie czepiam się, wręcz przeciwnie: niech nas widzą, niech o nas mówią, niech o nas pamiętają.

Instytut zajmuje się m.in. organizacją koncertów (np. Agi Zaryan czy Lecha Janerki), spotkań z pisarzami (Mariusz Szczygiel) czy projekcji polskich filmów. Inna sprawa, że nie spotkałam się z zaskakującym odbiorem żadnej z tych imprez ze strony czeskiej. Ludzi przychodziło niewiele, a jeśli już, to zazwyczaj byli to Polacy mieszkający w Pradze, Czeši z mieszanych małżeństw i garstka studentów tutejszej polonistyki. Może nasza kultura jest zbyt niszowa (choć nie wydaje mi się), może promocja jest zbyt słaba, a może po prostu Czechom wystarcza ich własna kultura.

W kinie w... Pradze

Ku milemu zaskoczeniu udało mi się zaobserwować przejawy bytności naszych artystów w praskim życiu kulturalnym także poza Instytutem. Na pewno nie spodziewałam się, że w wielu kinach spotkam film „Wszystko, co kocham”. Poza tym miałam możliwość obejrzenia „Beats of freedom – zew wolności” i „Tataraku”. Cieszy mnie, że eksportujemy akurat to całkiem wartościowe kino, a darujemy sobie, np. próby przekonywania do filmów typu: „Kochaj mnie zawsze”, „Kochaj mnie czule”, „Nie przestawaj mnie kochać” itp.

Poza kinem niewątpliwie największą furorę robiły premiery sztuki „Gottland” na podstawie książki, która w tutejszych księgarniach opatrzona jest naklejką *bestseller*. Jednocześnie wystawiały ją teatry w Pradze i w Ostrawie, pisały o niej wszystkie największe dzienniki, a kupno biletów już tydzień po premierze graniczyło z cudem. Ja się nie załapałam, za to koleżanka tak i, niestety, była rozczarowana.

Polska książka, ale o Czechach

W literaturze nie wyróżniamy się jakoś szczególnie, może dlatego, że Czeši mają swoich twórców na pęczki. Ale... Odnótowałam premierę nowej książki Andrzeja Pilipiuka, reklamowanego jako „legendarny polski pisarz”. Dobrą promocją cieszył się również czeski przekład „Wojny polsko-ruskiej” Doroty Masłowskiej. A przede wszystkim (co mnie zaskoczyło najbardziej), bardzo ładnie wydany zbiór polskich legend z epoki piastowskiej. Aż miałam ochotę sama go kupić. Naturalnie, media najczęściej odnotowują powstanie kolejnej polskiej książki wychwalającej czeskie spojrzenie na świat, jak na przykład „Pepiki” Mariusza Surosza czy „Zrób sobie raj” Mariusza Szczygła. Wydawało mi się to trochę „czechocentryczne”, ale u nas też przecież od lat na szczycie sprzedaży są książki prof. Normana Daviesa, a to chyba podobny typ literatury.

I popik na koniec

W muzyce popularnej widać nas sporadycznie, lecz jeśli już, to wydaje mi się, że nie możemy narzekać na wysyłanie w świat obciachu. Na półkach sklepowych widziałam jakieś pojedyncze egzemplarze płyt Maryli Rodowicz, Marka Grechuty i wspomnianego wcześniej zespołu Hey. Zanotowałam też, że z koncertami wystąpiło legendarne SBB, świetna kapela electro Kamp! i znana z telewizyjnego show ekscentryczna Olivia Anna Livki. ■

Najtaniej w mieście

Pizza *Tifosi*

9.90

Tylko teraz

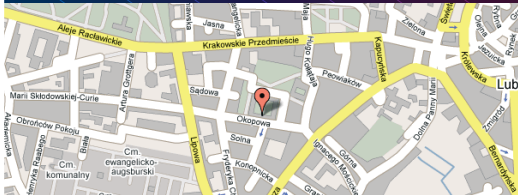


32cm

Tifosi

Cena promocyjna obejmuje godz. 10 - 18

1. <i>Queen Margherita</i> (sos, ser, pomidor, świeża bazylia)	14 zł	9.90
2. <i>Hawajska</i> (sos, ser, szynka, ananas)	17 zł	9.90
3. <i>Wegetariańska</i> (sos, ser, papryka, kukurydza, brokuły, oliwki)	17 zł	9.90
4. <i>Chicken</i> (sos, ser, kurczak, pieczarki)	18 zł	9.90
5. <i>Grecka</i> (sos, cebula, pomidor, feta, oliwki, papryka)	18 zł	9.90
6. <i>Tonno</i> (sos, ser, tuńczyk, pomidor, cebula, kukurydza)	18 zł	9.90
7. <i>Bin Ija</i> (sos, ser, kurczak, kukurydza, papryka, pieczarki, czosnek, cebula)	19 zł	9.90
8. <i>Bistro cztery sery</i> (sos, ser, 4 rodzaje sera)	19 zł	9.90
9. <i>Maestro salami</i> (sos, ser, podwójne salami)	20 zł	9.90
10. <i>Peperoni</i> (sos, ser, peperoni, salami, cebula)	20 zł	9.90
11. <i>Picante</i> (sos, ser, salami, peperoni, chili)	20 zł	9.90
12. <i>Wiejska</i> (sos, ser, boczek, kiełbasa, czosnek, cebula)	20 zł	9.90
13. <i>Morska</i> (sos, ser, owoce morza)	20 zł	9.90
14. <i>Prosciutto funghi</i> (sos, ser, szynka, pieczarki, cebula)	21 zł	9.90
15. <i>Mięsna uczta</i> (sos, ser, boczek, szynka, salami, pieczarki)	21 zł	9.90
16. <i>Pizza na białym sosie</i> (kurczak, cebula, pieczarki, oliwki)	23 zł	9.90



Tifosi ul. Okopowa 5
(budynek DOKP)
www.tifosi.pl
(81) 472-16-16
info@tifosi.pl

ADRIAN ZBICIAK

TRADYCYJNO-AWANGARDOWY KOD

Podstawowym celem Festiwalu Kody jest łączenie za pomocą muzyki tego, co zakorzenione w naszej przeszłości, z twórczością współczesnych artystów, nadających muzyce zupełnie nowy wymiar – często nieobliczalny, zaskakujący, a czasem wręcz szokujący. I słusznie, to, co awangardowe, nie może być przewidywalne.



Logo festiwalu

Mówiąc „idzie nowe”, zazwyczaj zakładamy, iż „nowe” przychodzi na miejsce tego, co było, względnie jest nadal. Często też nie łączy wyzwaniem jest znalezienie wspólnego mianownika dla różnych stylów i epok, a w przypadku szeroko pojętej muzyki dawnej i współczesnej może wydać się to wręcz niewykonalne. Założenie to jednak nie jest uzasadnione, a udowadniają to organizatorzy Festiwalu Tradycji i Awangardy Muzycznej Kody, który w dniach 14–21 maja 2011 roku odbywał się w naszym mieście już po raz trzeci.

Tegoroczna edycja Kodów dostarczyła mi właśnie takich odczuć – od początkowego niedowierzania, szoku, przez zaciekawienie, aż po fascynację i zachwyt. I ani trochę tu nie przesadzam. Program festiwalowy obfitował w koncerty przeróżnych artystów. Wystąpili m.in.: Joel Grip (szwedzki kontrabasista) i Pierre Borel (saksofonista z Francji), Iva Bittová (czeska skrzypaczka, wokalistka i kompozytorka) wraz z Leszkiem Możdżerem i Jackiem Kochanem (polskimi muzykami jazzowymi), Evelyn Glennie (niesłysząca szkocka perkusistka) i Philip Smith (amerykański pianista

brytyjskiego pochodzenia)...

Szczegółowe opisanie wszystkich wydarzeń i artystów tegorocznych Kodów zajęłoby prawdopodobnie znaczną część tego numeru „Myszlicieła”. Chciałbym jednak szerzej opowiedzieć o projekcie, w którym sam miałem okazję uczestniczyć jako jeden z wykonawców.

Pierwszego dnia Festiwalu, w sali koncertowej Filharmonii Lubelskiej, miała miejsce prapremiera utworu *W świetle zielonego słońca* autorstwa Jagody Szmytki – polskiej kompozytorki tworzącej i pracującej obecnie w Niemczech. *W świetle zielonego słońca* to kompozycja, która łączy w sobie elementy śpiewu, grę światła (i ciemności), dźwięki instrumentów oraz szumy przyrody i hałasy otoczenia. Występ rozpoczął się od tradycyjnych pieśni ludowych, które wykonywał lubelski Zespół Międzynarodowej Szkoły Muzyki Tradycyjnej w sześciuosobowym męskim składzie, do którego zaproszono i mnie.

Wielogodzinne próby okazały się niezbędne, gdyż poza pieśniami (tzw. „Konopielkami”) mieliśmy do wykonania szereg zawołań, szeptów połączonych z wybijaniem rytmu deseczkami. Całość komplikował fakt, że zespół podzielony był na dwie trzyosobowe grupy, które w tym samym czasie wykonywały różne sekwencje: to uzupełniając się wzajemnie, to – zgodnie z założeniem kompozytorki – walcząc ze sobą.

Towarzyszył nam zespół instrumentalny Kwartludium z Gdańska, składający się z czterech muzyków, grających na skrzypcach, fortepianie, perkusji i klawnie. Jeśli słuchacze spodziewali się usłyszeć standardową grę na instrumentach, to pewnie byli w szoku. Słowa nie są w stanie oddać klimatu, w jaki wprowadził wszystkich brawurowy kwartet wykonujący kompozycję Szmytki. Było w tym coś niepokojącego, czasem wręcz drażniącego, lecz wprowadzającego słuchacza w nastrój refleksji, kontemplacji. Po utworze zapadła cisza i ciemność, kiedy to wykonawcy zeszli ze sceny.

W Festiwalu Kody nie ma miejsca na przewidywalność. Połączenie tradycji z awangardą z założenia ma zaskakiwać. Tegoroczna edycja pokazała, że elementy pozornie nie do połączenia mogą jednak doskonale ze sobą współgrać i dostarczać słuchaczom niezapomnianych emocji. Kody będą też dla mnie obowiązkową pozycją w kalendarzu lubelskich imprez kulturalnych. ■



http://www.kody-festival.pl/

Jedna z gwiazd Festiwalu Kody – Evelyn Glennie, niesłysząca szkocka perkusistka. Wystąpiła 20 maja w lubelskim Centrum Kongresowym

ANNA DANIEWICZ

II WARSZAWSKIE TARGI KSIĄŻKI

Uczestniczyłam w targach książki po raz pierwszy, bez żadnych konkretnych oczekiwań, raczej z pragnieniem przeżycia niesamowitej przygody. Wyobraźnia podsuwała mi same stereotypowe obrazki, które na bieżąco konfrontowałam z rzeczywistością. Pierwszym zaskoczeniem okazał się fakt, że targi to coś więcej niż tysiące książek na wyciągnięcie ręki do oglądania, czytania, wreszcie kupowania.

 ferta tegorocznych targów książki imponowała liczbami: zagospodarowano 4 poziomy Palacu Kultury i Nauki, zaproszono 620 wydawców z 14 krajów, a także 300 autorów, m.in. Hannę Krall, Trudi Canavan, Beatę Pawlikowską, Wiktora Suworowa. Od 12 do 15 maja można było oglądać ciekawe wystawy, uczestniczyć w konferencjach, debatach, pokazach. Organizatorzy prześcigali się w oferowaniu atrakcji dla dzieci i dorosłych. Kolorowy zawrót głowy, tylko... czy w tym wszystkim jest jeszcze miejsce na literaturę?

Nowa przestrzeń literacka

Wchodząc w sobotni poranek do Palacu Kultury i Nauki, poczułam się jak na wielkiej, masowej imprezie. Po kupieniu biletu, który został skrupulatnie sprawdzony przez ochronę, otworzyło się przede mną morze kolorowych stoisk wydawniczych. Oferowano mi gadżety, słodczyce, reklamy, udział w konkursach, spotkaniach i wreszcie... książki. Najbardziej oczekiwaną częścią targów były spotkania z autorami. Ze zdziwieniem obserwowałam niemal automatyczną produkcję podpisów przy obleganych stoiskach. W pewnym momencie zdałam sobie sprawę, że to niesamowite, jak bardzo postęp cywilizacyjny, urbanizacja czy konsumpcjonizm wpłynęły na postrzeganie i tworzenie przestrzeni literackiej.

Przyszłość książki

Idea II Warszawskich Targów Książki było połączenie spotkań na płaszczyźnie czytelnik/autor/wydawca z wydarzeniami kulturalnymi. Jak pisali w liście otwartym organizatorzy: „Obok tradycyjnych spotkań z ulubionymi autorami stawiamy na bogaty program poświęcony przyszłości książki w obliczu dokonujących się zmian technologicznych, warsztaty marketingowe dla branży, literackie i budzące pasję spotkania dla młodzieży czy interaktywne zabawy targowe dla dzieci”¹. W tym roku zaplanowano cykl



<http://www.flickr.com/photos/marcuski/299313394/>

konferencji, nie tylko dla czytelników, ale i bibliotekarzy czy wydawców. Warto w tym miejscu, obok debaty o stanie czytelnictwa w Polsce, przywołać konferencję „Książka elektroniczna – przyszłość czy codzienność”. Ogłoszono nominacje do Nagrody Literackiej Gdynia, Nagrody Literackiej Nike i innych. Poznaliśmy laureatów konkursu na Najlepszą Książkę Dziecięcą „Przecinek i kropka”. Fani komiksu mogli uczestniczyć w festiwalu Komiksowa Warszawa. Ogromną niespodzianką były Wirtualne Targi Książki, na których przez dwa tygodnie można było zapoznać się z ofertą poszczególnych wydawnictw.

Z tradycją ku nowoczesności

Jak podały media, tegoroczne Warszawskie Targi Książki odwiedziły 35 683 osoby. Tak duże zainteresowanie wydarzeniami czytelniczymi może dziwić w dobie komputeryzacji społeczeństwa. Za trafne należy uznać stwierdzenie, że podążanie z duchem czasów nie zawsze należy rozumieć jako odcięcie się od tradycji, ale jako swoiste jej przekształcanie. Uważam, że II Warszawskie Targi Książki to wielki sukces wszystkich, którym zależy na promocji książki, także w jej nowoczesnej formie.■

¹ <http://www.targi-ksiazki.waw.pl/dla-wystawcow/list-przewodni> [dostęp: 25.05.2011].

MICHAŁ ROZMYŚL

LIBERATURA

„POWIEDZ MI TERAZ, CO TO... NIE BĘDĘ MOGŁA ZASNAĆ!”

Domniemany nocny dramat mojej koleżanki wywołałem zupełnie niezamierzenie. Rzucone słów kilka, podczas przypadkowego spotkania, zmieniły jej twarz, nadając oczom pół pożądliwe, pół szalone spojrzenie. Chciała wiedzieć. A wspomniałem tylko o liberaturze.

Liberatura? Pojęcie nowe, nieczęsto spotykane. W słowniku trudno odnaleźć wyjaśnienie, poza tym, w jakim szukać pomocy? Gdzie odnaleźć trop? Pierwsze, najbardziej oczywiste skojarzenie – literatura. To skojarzenie jak najbardziej właściwe, bo liberatura to nowe oblicze tejże, transformacja tradycyjnej formy, w której czytelnik bierze do ręki książkę – otwiera, przewraca kolejne kartki i czyta. Taki wzór funkcjonuje od tysiącleci, można określić go „utartym”, a zawsze znajduje się ktoś, kto rzeczy „utarte” uznaje za przestarzałe i wyjałowiałe, rozczarowany nimi, odkrywa nowe ścieżki. Było tak kiedyś z Cortázarową *Grą w klasy* – autor całkowicie zburzył linearne uporządkowanie tekstu, nadając swej książce o wiele bardziej wolną strukturę.

Gdy wspomina się o jakimś nowym pojęciu, jego rozpoznanie ułatwia podanie źródłosłowa nazwy. Liberatura powstała z homonimicznej formy wyrazów łacińskich: *liber*, *libri* rzeczownika oznaczającego ‘książkę’ oraz *liber*, *libra*, *liberum*, przymiotnika, który zawiera znaczenia słowa ‘wolny’. Dzięki przytoczeniu etymologicznego pochodzenia terminu łatwiej wejść na kolejny trop – ‘wolną książkę’. Czym jest zatem liberatura? „[...] to taki rodzaj literatury, w którym tekst i materialna forma książki tworzą organiczną całość, a wszelkie elementy, w tym również niewerbalne, mogą być nośnikami znaczenia”¹ – profesjonalne ujęcie problemu może być trochę nieczytelne. Aby lepiej wytłumaczyć znaczenie literatury, użyję „metaforyki kulinarnej”, która, według jednego z pracowników Instytutu Filologii Polskiej, jest jedną z najlepszych metod wykładania pojęć z zakresu literatury. Zatem załóżmy, że w liberaturze tekst utworu – to danie główne, a sposób podaży tekstu – to cały *entourage* tego dania, który uwytatnia jego jakość.

Jak to zilustrować? Opiszę trzy, według mnie, najbardziej ciekawe dzieła liberackie. Pierwsze z nich to utwór *Nieszczęśni* B. S. Johnsa. Gdy popatrzeć na okładkę – wygląda zupełnie jak normalna książka. Jednak, gdy przyjdzie do otwarcia jej, okaże się, że to, co wydawało się być stronami, jest jednolitym kawałkiem tektury, a wszystko jest zakamuflowanym pudełkiem. W środku znajdują się nienumerowane karty z rozdziałami oraz wskazówka, która podpowiada,

by czytając, rozpocząć od rozdziału pierwszego, a skończyć na ostatnim – to tradycyjna i „utarta” kolejność. Co z resztą tekstu? Należy czytać go w dowolnej kolejności, a najlepiej chwycić wszystkie fragmenty, podrzucić do góry i ten, który upadnie na podłogę czy stół najbliżej nas, powinien zostać przeczytany najpierw. Ciekawe, prawda?

Kolejny przykład, o jakże intrygującym tytule – *Sto tysięcy miliardów wierszy* Raymonda Queneau. Wydaje się, że zamieszczenie takiej liczby utworów w jednym zbiorze byłoby niemożliwe, nawet gdyby zapełnić go dystychami czy haiku. Otóż, da się, gdy są to teksty liberackie. Queneau zawarł w swoim dziele nawet większą ilość wierszy. Jak to możliwe? Po otwarciu jego książki, wszystko wygląda jak najnormalniej – strony tytułowe, strona metryczkowa. Dalej zaczynają się tzw. schody. Każda ze stron pocięta jest na kilkanaście pasków. Każdy z pasków zawiera linijkę tekstu. Odpowiednio manipulując stronami, zaginając paski, można ułożyć z pojedynczych wersów niemalże nieskończoną, a przynajmniej fizycznie trudną do policzenia liczbę utworów.

Ostatni, najciekawszy przykład, z książką ma już naprawdę niewiele wspólnego. Oprócz autora, tekstu i numeru ISBN nic nie przemawia za tym, iż cokolwiek łączy go z utworem liberackim. Nie będę niepotrzebnie przedłużał – ta książka to butelka. Zenon Fajfer stworzył dzieło *Spoglądając przez ozonową dziurę*. W tym przypadku sposób podaży, czyli wspomniany wcześniej „kulinarny” *entourage*, całkowicie przytłacza tekst. Fajfer wydał go na przezroczystym skrawku zrolowanej folii, którą następnie umieścił w butelce, stylizowanej na tę po jednym z najmocniejszych i najpopularniejszych trunków – wódce.

Nie jest to miejsce na interpretację znaczenia tych dzieł, należy to pozostawić zaciekawionym, być czytelnikom. Ważniejsze jest zwrócenie uwagi na istnienie literatury, a właściwsza byłaby tutaj ocena zjawiska, jakim ono jest – najistotniejszy i krótki wniosek, jaki przychodzi mi na myśl, znowu łączy się z łacińskim rodowodem tego pojęcia – *liber*, *liberi* oznacza w łacinie ‘dziecko, potomstwo’. Tym właśnie jest dla literatury opisywane zjawisko – krnąbrnym, ale jakże uroczym *enfant terrible*. ■

1 Co to jest liberatura?[on-line:] <http://www.liberatura.pl/co-to-jest-liberatura.html>, dostęp: 10.05.2011.

MARCIN KOTYL

TRADYCJA I JĘZYK

Czy wypowiadając słowo „tradycja”, zastanawialiście się kiedyś nad jego głębszym znaczeniem? Zadaliście sobie pytanie – skąd pochodzi i kiedy po raz pierwszy pojawiło się w naszym języku?

*S*łownik języka polskiego Szymczaka¹ definiuje tradycję jako „zasady postępowania, obyczaje, poglądy, wiadomości przechodzące z pokolenia na pokolenie; przekazywanie tych zasad, obyczajów następnym pokoleniom”. Jednak skądinąd wiadomo, iż to znaczenie ukształtowało się dopiero w XIX wieku². Wcześniej, tzn. już od XVI wieku, kiedy słowo to po raz pierwszy pojawiło się w naszym języku, funkcjonowało tylko w kontekście religijnym i prawnym. Było terminem technicznym oznaczającym: w pierwszym wypadku – źródło objawienia obejmujące pisma Ojców kościoła, teologów, wszelkich pisarzy kościelnych żyjących przed wiekami, jak i postanowienia soborów³; w drugim: „zgodne z przepisami prawa zabezpieczenie mienia dłużnika na rzecz wierzyciela”⁴. Znaczenie religijne zachowało się do dnia dzisiejszego, natomiast jurydyczne z czasem wyszło z użycia.

Łacińskie korzenie

„Tradycja” to słowo zapożyczone z łaciny od *traditio, onis*. Słowniki tego antycznego języka podają co najmniej kilka znaczeń: „przekazywanie”, „oddawanie”; „przekazywanie wiedzy”, „nauczanie”; „przekaz”, „tradycja”, „opowieść”. Samo rozumienie rzeczownika *traditio* determinuje jego podstawa słotwórcza, którą jest czasownik *do, are*, „dawać”, dodatkowo poprzedzony prefiksem *trans*, „przez”, „po drugiej stronie”. Po dodaniu tych dwóch elementów tworzy się derywat *tradere* (*trans+dare = tradere*, w dosłownym znaczeniu „dać coś na drugą stronę”, czyli „przekazać”) będący bezpośrednią podstawą dla pochodnego *traditio*. Na przestrzeni lat, obok znaczeń dosłownych, pierwotnych, wykształciły się również wtórne. Doskonałym i wyjątkowym tego przykładem jest tzw. znaczenie eklezjastyczno-biblijne. Wulgata właśnie czasownikiem *tradere* oddaje greckie *paradidomi* (παράδιδωμι⁵), oznaczające kontekstualnie, w odniesieniu do owej haniebnej czynności Judasza zdradę.

Polska rodzina

W polszczyźnie tradycja ma bardzo bogatą rodzinę wyrazową⁶. Na pierwszym miejscu obejmuje ona formację „tradycyjny”, która pojawia się od XVIII wieku w znaczeniu „dotyczący tradycji”, „zgodny z nią”. Sto lat później wprowadzono do użycia przymiotnik „tradycjonalny”. Mniej więcej w tym samym czasie, dzięki produktywnemu wówczas formantowi -izm, pojawia się też „tradycjonalizm”. W swoim pierwszym znaczeniu zbliża się do znaczenia religijnego, a później oznacza również świeckie „przywiązanie do tradycji, konserwatyzm”. Od XX wieku mamy „tradycjonalistę” – „człowieka przywiązanego do tradycji, zwolennika tradycjonalizmu” oraz przymiotnik „tradycjonalistyczny” – „dotyczący tradycjonalizmu, dotyczący tradycjonalisty”.

W XVIII wieku język polski przyswoił sobie jeszcze czasownik „tradować” w znaczeniu „zabezpieczać zgodnie z przepisami prawa mienie dłużnika na rzecz wierzyciela”. Na gruncie tego czasownika wykształcił się w tym samym okresie też rzeczownik „tradowanie”, a wiek później zaczęto się dodatkowo posługiwać przymiotnikiem „tradowany”. Warto wiedzieć, że pochodnymi leksemu „tradycja” są również od XIX wieku słowa: „ekstradycja”, „ekstradować” i „retradycja”.

Na co dzień

Nie sposób pominąć przy analizie bardzo bogatej frazeologii, tworzonej z użyciem rzeczownika tradycja. Obok dobrze znanych i często używanych związków „bogata tradycja”, „siła tradycji”, „przywiązanie do tradycji”, „zerwać z tradycją”, „przejsć do tradycji”, „uświęcony przez tradycję”, „tradycja rodzinna”, istnieje szereg innych wyrażen⁷, których nie zdołam tutaj wymienić. Ich mnogość (ponad setka) świadczy o tym, iż wyraz ten jest nam niebywale bliski i wypowiedany częściej niż się może wydawać.

Nie każdy też zdaje sobie sprawę, że „tradycja”, posługując się terminologią fachową, zalicza się do tzw. europeizmów. Wystarczy porównać włoskie *tradizione*, angielskie *tradition*, francuskie *tradition*, hiszpański *tradicion*, aby przekonać się, iż wszystkie derywują od wspomnianego już wcześniej *traditio*.■

1 M. Szymczak, *Słownik języka polskiego*, Warszawa 1981, s. 519 i n.

2 K. Długosz-Kurczabowa, *Wielki słownik etymologiczno-historyczny języka polskiego*, Warszawa 2008, s. 667.

3 Por. KKK 78 i n.

4 Długosz-Kurczabowa, *Wielki słownik*, (cyt. *supra*, przyp. 2), s. 668.

5 *Tradere* jest dosłownym tłumaczeniem greckiego παράδιδωμι (*trans = παρα; do = δίδωμι*), które też w swoim pierwotnym znaczeniu tłumaczy się „przekazywać”.

6 Wszystkie poniższe rozważania są oparte na podstawie słownika Długosz-Kurczabowej, *Wielki słownik*, (cyt. *supra*, przyp. 2), s. 667 i n.

7 Zob. S. Skorupka, *Słownik frazeologiczny języka polskiego*, Warszawa 1985, s. 381 i n.

MATEUSZ GOŁOŚ

NAUKA – CERTYFIKAT JAKOŚCI

Każda ludzka działalność chce być określana mianem nauki, gdyż to dodaje jej powagi i splendoru. Ostatecznie jednak społeczeństwo przygniecione wszechobecnością tego, co naukowe, zaczyna odwracać się od naukowości.

Wieża z kości słoniowej – módl się za nami! – to wezwanie Litanii Loretańskiej, zaczerpnięte z Pieśni nad pieśniami, nawiązywało do szlachetnej czystości, jaką odznacza się kość słoniowa. Współcześnie wyrażenie „wieża z kości słoniowej” używane bywa do określenia miejsca odosobnionego, wolnego od nacisków ze wewnętrznego świata, w którym naukowcy mogą spokojnie od innych rozwijać swoje koncepcje. Nic więc dziwnego, że tradycyjnie rozumiana nauka często była określana właśnie jako taka wieża – dziedziną odosobnioną od społeczeństwa, niezależną, rządzącą się własnymi prawami. Wierzano bowiem w nieograniczone możliwości intelektualne człowieka, który nieskrępowany żadnymi zewnętrznymi regułami, mężnie kroczył przez zawity świat nauki i docierał do obiektywnych wyników pracy. Nie straszne mu były jakiegokolwiek zewnętrzne więzy, ba, wewnętrzne ograniczenia również! Wszak siła sprawcza rozumu nie mogła przejmować się żadnymi partykularnościami! Dziś zdajemy sobie sprawę, że taka „sytuacja epistemologicznie uprzywilejowana”, jak zwykł ją określać Stefan Amsterdamski, jest tylko czystą fikcją. Słynny już toast wzniesiony w czasie kolacji wydanej uczonym w Cambridge: „Za czystą matematykę i aby nigdy nikomu nie przynosiła korzyści” – współcześnie urasta do rangi symbolu swoistej naiwności naukowej. Z biegiem lat obserwujemy systematyczny spadek prestiżu nauki i zaufania do naukowców.

Bombowa nauka

W dyskusjach dotyczących odpowiedzialności działań naukowców często nadużywanym przykładem jest skonstruowanie bomby atomowej. Roztrząsano już wielokrotnie, czy naukowcy, którzy przyczynili się do jej powstania,

są odpowiedzialni za śmierć tysięcy ofiar ataku atomowego na Hiroszimę i Nagasaki w sierpniu 1945 roku. Przywołuje się czasem jednego z uczestników Projektu Manhattan [zmierzającego do skonstruowania bomby atomowej – przyp. red.], Roberta Oppenheimera, który po dokonaniu ataków atomowych przez Stany Zjednoczone powiedział: „Fizycy poznali, co to grzech”. W innym miejscu na pytanie o konstruowanie bomby odpowiedział: „Wiedzieliśmy, że świat nie będzie już taki



Współczesne rozmycie rozumienia pojęcia „naukowość” zaczyna przypominać biblijną wieżę Babel, w której każdy mówi swoim językiem

sam. Niektórzy płakali, niektórzy się śmiali, zaś większość ludzi milczała”. Milczenie to nie trwało długo. Doświadczenie tamtych lat, wzbogacone następnie o doświadczenie zimnej wojny, pokazało prawdę o społeczno-politycznym zaangażowaniu naukowców, co z kolei zaprzeczyło myśleniu o nauce jako o wieży z kości słoniowej.

Naukowa niewola?

Samo środowisko naukowe nie pozostało na wydarzenia historyczne obojętne. Lata sześćdziesiąte oraz siedemdziesiąte XX wieku to czas, w którym w amerykańskich uniwersytetach i ośrodkach badawczych zaczęto dyskutować na temat relacji między nauką a społeczeństwem. Dodatkowym bodźcem, który znalazł odzwierciedlenie w tych analizach,

był wybuch rewolucji obyczajowej w 1968 roku. Oto świat naukowy, zachwiany przez doświadczenia powojenne, musiał zmierzyć się z ideologią liberalną, która odrzucała wszelkie zyski cywilizacyjne, uznawane dotąd za bezdyskusyjne osiągnięcie społeczeństwa zbudowanego na nauce. To już naukowcom nie mogło się pomieścić w głowie... Jak cywilizowany człowiek żyjący w XX wieku może twierdzić, że częste zażywanie kąpieli to przejaw ideologicznego nacisku?! A jednak zdarzali się i tacy.

Potwór-tyran

Coraz częściej pojawiały się głosy, że nauka daje skrzywiony obraz świata. Gdy w 1974 roku Theodore Roszak opublikował swój słynny esej zatytułowany: *The Monster and the Titan: Science, Knowledge, and Gnosis*¹, wyraził przekonanie, dzielone już wówczas przez wielu, że nauka jawi się jako potwór, który zagarnia całe społeczeństwa i każe im żyć na swoich warunkach. Próbę zweryfikowania tradycyjnej wizji nauki podejmuje Gerald Holton. Jego książka: *Science and Its Public: The Changing Relationship*², choć nie przyczyniła się do ostatecznego rozwiązania konfliktu, do dziś stanowi ważny głos w dyskusji na temat roli nauki w społeczeństwie.

Poza kontrolą

Po upadku tradycyjnego modelu nauki próżno szukać innej wieży, która mogłaby zastąpić tę wykonaną z kości słoniowej. Wieżę rozebrano, kość słoniowa znalazła pewnie nabywców na czarnym rynku i tyle ją widzieliśmy. Jedyne, co z klasycznego modelu pozostało, to wiara w technologię. Powstające wynalazki wnoszące w życie wiele udogodnień są niejako codziennymi oznakami potęgi nauki, na których opiera się gotowość uznania jej autorytetu. Sytuacja taka ma i drugą stronę medalu, czasem bowiem pojawia się niechęć do wytworów technologii, która „przenoszona jest na samą naukę”³. Społeczeństwa są w stanie zauważyć, że stworzona przez człowieka technika wymyka się spod jego kontroli. Nie chodzi już tylko o futurologiczne opowieści w stylu Stanisława Lema, lecz o powstanie wyraźnego prądu filozoficznego zwanego transhumanizmem, ogłaszanie powstania człowieka postludzkiego itp.⁴ Mianem transhumanizmu określa się ideologię, która dąży do wykorzystania zdobywczy współczesnej nauki, szczególnie neurotechnologii, nanotechnologii i biotechnologii, w celu poprawy jakości ludzkiego życia. W praktyce chodzi np. o wszczepianie do żywego organizmu ludzkiego jak największej ilości elementów obcych, które podniosą jego wydajność i zapewnią mu długowieczność. Pomysły takie nie pozostają tylko w sferze wizjonerstwa. Pojawiają się konkretne próby ich realizacji. Wystarczy przywołać chociażby Raymonda Kurzweila, który

jest nie tylko wynalazcą, propagatorem idei transhumanizmu, lecz jednocześnie naukowcem mogącym pochwalić się rzeczywistymi dokonaniem w imię propagowanej przez niego idei.

Promocja jak z TV

Gdy jednak spróbujemy bliżej przyjrzeć się obecnej nauce, zobaczymy kolejną wieżę, do której będziemy mogli ją porównać. Rezygnacja z autonomii badań a uwzględnianie kryteriów pozanaukowych, przyjmowanie zleceń na badania, produkcja i sprzedaż wiedzy, nowe metody inter-, multi- i transdyscyplinarne – istne pomieszanie z poplątaniem! Czy to przypadkiem nie wieża Babel? Tam Bóg pomieszał języki, by powstrzymać pychę, tu zaś ludzie sami sobie pomieszczyli paradygmaty. Po co? Trudno powiedzieć. Współczesna nauka i współczesne uniwersytety coraz częściej przypominają biblijną wieżę Babel. Wiedzę coraz częściej trzeba reklamować w taki sam sposób, jak produkty ze sklepowych półek. Reagując na niż demograficzny, uczelnie próbują przyciągnąć w swoje mury jak największą liczbę studentów, reklamując często nie tyle same studia, co towarzyszące im rozrywki: spędzanie czasu w uczelnianych klubach, kinach, teatrach, basenach i kortach tenisowych⁵.

Obywatel świata

Paradygmatu naukowego trzymają się kurczowo sami badacze. John Desmond Bernal, jeden z najsłynniejszych i najbardziej kontrowersyjnych brytyjskich naukowców XX wieku, często nazywany po prostu „mędrce”, przywołuje słowa osiemnastowiecznego francuskiego przyrodnika René de Réaumura: „[...] bywali ludzie dziwiący się, że opublikowałem tajemnice, które nie powinny być ujawnione [...]. Czy jest rzeczą oczywistą, iż nasze odkrycia były aż tak istotne, aby publiczność nie miała do nich praw, tak jakby owe odkrycia w jakiś sposób do niej nie należały? [...] czy się jeszcze zdarzają owe okoliczności, w których jesteśmy całkowicie panami naszych odkryć? [...] Przede wszystkim należymy do Ojczyzny, ale także i do reszty świata; ci, których praca służy doskonaleniu Nauki i Sztuki, wręcz powinni uważać się za obywateli świata”⁶. Kto dziś podpisałby się pod takimi słowami? Wiedza stała się towarem, na którego produkcji i sprzedaży można się nieźle dorobić. Trzeba ją zatem patentować, by ktoś nam nie zgarnął sprzed nosa profitów. Pracować należy wspólnie, aby jak najszybciej osiągnąć zyski.

Ostatecznie mamy dwie wieże w jednej – niczym promocja w supermarkecie. Wszyscy chcą wznieść wieżę z kości słoniowej, ale wychodzi im z tego tylko wieża Babel. I Boga w to nie mieszejmy! Człowiek już dawno zaczął go w kwestii mieszania (nie tylko) języków wyręczać.■

1 T. Roszak, *The Monster and the Titan: Science, Knowledge, and Gnosis*, „Daedalus” 1974 t. 103, nr 3.

2 W.A. Blanpied, G. Holton, *Science and Its Public: The Changing Relationship*, Dordrecht 1976.

3 Tamże, s. 575.

4 Literatury na ten temat ciągle przybywa. Warto zwrócić uwagę na następującą pozycję: R. Campa, *Mutare o perire. La sfida del transumanesimo*, Milano 2010.

5 Por. A. Nidek, M. Rychter, *Akademia wojenna. Studenci już nie walczą o indeksy, to indeksy biją się o studentów*, „Wprost” 2006, nr 25.

6 J. D. Bernal, *The Social Function of Science*, NY 1941, s. 150-151.

JOLANTA PROCHOWICZ

TRADYCYJNIE? NIE, DZIĘKUJĘ

Tradycja – słowo, które pojawia się przy okazji świąt kościelnych, narodowych, jubileuszy, mów patriotycznych. Tworzy normy zachowań, stanowi argument dla rozmaitych zakazów. Słyszymy od dzieciństwa, że trzeba ją zachowywać, kultywować, chronić, uznawać jej doniosłość.

Przekazywana z pokolenia na pokolenie ma stanowić o naszej tożsamości. Tradycje bywają jednak rozumiane bardzo różnie. Dla jednych tradycją jest malowanie pisanek podczas świąt wielkanocnych, dla innych może nią być bicie kobiet, które jest zresztą jednym z najstarszych zwyczajów na świecie. „Tradycyjnie” oznacza bardzo często „stereotypowo”, „bezmyślnie”, „konformistycznie”. **Tradycja nie zawsze jest wartościowa.** Bywa, że hołdowanie jej nakazom staje się zakamuflowanym wyrazem naszych lęków przed zmianą przyzwyczajzeń lub też zwyczajnym intelektualnym lenistwem.

Martha Nussbaum, współczesna filozofka amerykańska, w wywiadzie dla „Gazety Wyborczej” nazywa tradycję „dyktaturą starców”¹. Podkreśla wielość różnych tradycji oraz to, że bardzo często wchodzą one ze sobą w konflikt, w którym wygrywają te bardziej słyszalne, silniejsze. Gdy mówimy: „tradycja nakazuje kobiecie pozostanie w domu i opiekowanie się dziećmi”, tak naprawdę oznacza to, że głos mężczyzny jest silniejszy niż głos kobiet, mają oni władzę. W tym znaczeniu tradycja jest społecznym konstruktem, który ogranicza myślenie, zamyka w ciasnych szufladkach, które tak naprawdę pozbawione są najmniejszego sensu z punktu widzenia indywidualnego rozwoju jednostki. Zachowanie tradycji może stać się naganne moralnie, może krzywdzić człowieka i bardzo często tak się dzieje. Tak jest w przypadku tradycji obrzezania kobiet, która jest powszechna w krajach Afryki i Bliskiego Wschodu, a także w przypadku zwyczajów kastowych w Indiach, które zabraniają wychodzić wdowie z domu. Przykłady można mnożyć. Należy zdać sobie sprawę, że tradycja nie usprawiedliwia notorycznego łamania praw człowieka! Podkreśla to Martha Nussbaum we wspomnianym wywiadzie:

Potrzeba wielu ludzi wykształconych i odważnych, którzy pójdą w świat i podejmą osobiste ryzyko związane ze zmianą. Takiej odwagi więcej znalazłam w Indiach niż np. w Stanach Zjednoczonych. Kiedy kobiety ze wsi były gwałcone podczas rozruchów w stanie Gudżarat, studentki i wykładowczynie z uniwersytetu pojechały na wieś, zebrały ich zeznania i pomogły złożyć wnioski o ściganie sprawców,



bo policja nie chciała kiwnąć palcem. Były skłonne podjąć osobiste ryzyko, żeby zmienić społeczeństwo na lepsze.² Złe dziedzictwo wieków jest w istocie prawem silniejszego. Stwierdzenie, w którym głosi się, że należy przyjąć pewien sposób myślenia o świecie dlatego, że jest przyjmowany od pokoleń, nie może stanowić argumentu w budowaniu świadomego światopoglądu.

Oczywiście nie oznacza to, że należy odstawić wszelkie dziedzictwo do przysłowiowego lamusa. **Tradycja to ogromne bogactwo.** Jej barwność i różnorodność powinno się z całą pewnością gorliwie zachowywać. Jednakże niezbędny jest uprzedni test racjonalności, który pozwoli na rozsądny wybór składników wartościowego obrazu świata. Składników, których prymarną funkcją rozszerzy się służbę szeroko rozumianemu humanizmowi. Tradycja ma być przecież, jak mówi Ezra Pound, „pięknem, które chronimy, a nie więzami, które nas ograniczają”. ■

¹ http://wyborcza.pl/1,76842,5404587,Tradycja_to_dyktatura_starcow.html, [dostęp: 11.05.2011].

² Tamże.

ADRIAN ZBICIAK

UJMA NA HONORZE

„Kuna”, „gąsior”, „osioł”. Dla zdecydowanej większości z nas podstawowym desygnatem tych nazw będzie odpowiedni ssak czy ptak. Podobnie, myśląc o „drabinie”, „balkonie” czy „rusztowaniu”, nasze pierwsze skojarzenia raczej nie będą związane z prawem karnym.

Kary hańbiące miały w swym założeniu przede wszystkim godzić w cześć i dobre imię sprawcy. Zanim w dobie oświecenia zaczęto podejmować reformy prawa karnego w duchu humanitaryzmu, „godność” była pojęciem, którego z przestępcą nie wiązano. Kara śmierci czy też kary okaleczające znane były w antycznych i średniowiecznych systemach prawnych – można wręcz rzec, że były na porządku dziennym. Czasem jednak (w odniesieniu do określonych czynów tudzież konkretnych sprawców) uznawano dwojako: albo kara śmierci czy też okaleczająca były sankcjami zbyt surowymi, albo zgoła przeciwnie – należy sprawcy zadać dodatkową dolegliwość, uderzając w czuły punkt – honor.

Dla publiczności

Warto mieć na uwadze, że w średniowieczu i na początku czasów nowożytnych (a do tego okresu chciałbym zawęzić ten artykuł) honor był wartością szczególnie istotną. Organy wymierzające sprawiedliwość oprócz ukarania sprawcy miały za zadanie wywarcie na społeczeństwie „zniechęcania” do popełniania przestępstw (prewencja generalna). Musiały więc zadbać o możliwie szerokie zaprezentowanie sankcji karnych. Stąd publiczne wykonywanie kar – na miejskich rynkach, na placach przed kościołami, na targach. Istotą kar na honorze była między innymi publiczność. A kolejnym ich celem było zniechęcenie sprawcy do powrotu do przestępstwa (prewencja indywidualna). Zatem im więcej osób mogło oglądać ich skutki, im bardziej sprawca był ekspozowany, tym bardziej było możliwe zapobieżenie kolejnemu wykroczeniu. Oczywiście zakładając, że kara na honorze nie była „dodatkiem” do kary surowszej, np. jako kwalifikowana postać kary śmierci.

Pręgierz

Do najbardziej tradycyjnych przykładów kar na honorze należy pręgierz, wykorzystywany do wystawienia sprawcy przestępstwa na widok publiczny w czasie wykonania kary, np. chłosty, piętnowania rozżarzonym żelazem, ale również przez jakiś czas po skończonej egzekucji. Miał on formę wolno stojącego drewnianego, murowanego czy też kamiennego słupa. Dlatego najczęściej – kara pręgierza połączona była z okaleczeniem i miała służyć upublicznieniu egzekucji – efekt poniżenia osiągnąć był więc raczej „przy okazji”.



Pręgierz należy do najbardziej tradycyjnych przykładów kar na honorze i był wykorzystywany do wystawienia sprawcy przestępstwa na widok publiczny w czasie wykonania kary

Jako ciekawostkę można dodać, że na pręgierzach zawieszano również fałszywe miary i wagi, rozlewano nieprawdziwe wino, a nawet umieszczano odcięte kończyny zлочyńców.

Gąsior

W małych miastach, na przedmieściach dużych grodów oraz na wsiach zamiast pręgierza budowano urządzenie nazywane „gąsiorem”. Składało się ono z dwóch dość krótkich słupów, pionowo wbitych w ziemię, pośrodku których ulokowane były dwie deski z otworami na głowę i ręce. Skazany odbywał karę, klęcząc lub na czworakach. Gąsior pełnił funkcję analogiczną do pręgierza, choć stosowano go przeważnie przy drobniejszych przestępstwach – głównie kradzieżach. Złodzieja wystawiano na widok publiczny często wraz z łupem, przy tym nieraz poddawano go chłóście. Sprawca nie był umieszczany w gąsiorze na szczególnie długi czas – najczęściej trwało to kilka godzin lub jeden dzień – w końcu chodziło o karę na honorze, nie zaś o pozbawienie wolności.

Kuny

Z biegiem czasu do pręgierzy mocowane były dodatkowe urządzenia, które często umieszczano również przy ścianach budynków, zwłaszcza ratuszy miejskich, ale również i kościołów. Były to tzw. „kuny” – przyrządy przypominające bransolety, kołnierze, które zakładano na szyję przestępcy i zamykano na specjalną klódkę. Winny odbywał karę zależnie od wysokości zawieszenia „kuny”, na stojąco lub na siedząco, a wyjątkowo i na leżąco. Skazanemu dodawano często tabliczki informujące o popełnionym czynie, np. „zwyrodniał ojciec”, „uwodziciel dziewcząt”, „za fałszywych pieniędzy udawanie”, a czasem wkładano do rąk narzędzia zbrodni, np. nóż, czy też dowody, jak zakrawioną koszulę.

Kary w innym wykonaniu

Innymi mechanizmami o podobnych funkcjach jak pręgierz, gąsior czy kuna były też rusztowanie hańby i klatka, służące po prostu do wystawienia przestępcy na widok publiczny, oraz drabina – przywiązywano do niej za nogi i ręce świadka, który złożył fałszywe zeznania przed sądem kościelnym. W dzień targowy drabinę z taką osobą wystawiano na kilka godzin przed kościół katedralny czy dwór biskupa. Ciekawą metodą hańbiącą piekarzy, wyrabiających zbyt małe chleby, była kara „żurawia”, inaczej zwaną karą „huśtawki” albo „rzezaniem się w koszu”. Na wbitym pionowo w ziemię słupie mocowano ruchome ramię – na jednym z jego końców umieszczano kosz, w którym podnoszony był delikwent, do drugiego końca przywiązywano zaś kamień odpowiadający wagą skazanemu. Ponadto piekarza wyposażano w nóż, którym mógł odciąć kosz, z tym że łądował wtedy w błocie, nad którym był cały czas zawieszony.

Specjalną karą na honorze, przewidzianą w zasadzie dla żołnierzy, był tzw. „osiół hańbiący”. Delikwent był umieszczany na drewnianej konstrukcji, imitującej wyglądem osła, względnie konia, wyposażonej u podstawy w kółka umożliwiające jej przewożenie, oczywiście wraz z odbywającym karę. Najważniejszym celem było ośmieszenie żołnierza, siedzącego na ostro wykończonym grzbiecie „osła”, co sprawiało ból, potęgowany jeszcze przez obciążenie

skazanego przywiązanymi do jego nóg kamieniami. Konstrukcję dodatkowo ozdabiano, by silniej przyciągała uwagę, dostarczając jednocześnie żołnierzowi jak najwięcej infamii.

Jeszcze inną formą wykonania kary na honorze było powieszenie na szubienicy portretu zbiegłego przestępcy skazanego na karę śmierci. Czasem wieszano też same tabliczki z imieniem i nazwiskiem delikwenta, ewentualnie ze wskazaniem czynu, jaki popełnił.



http://www.malagon.pl/skarby_kolekcji/9.jpg

Za złeższe przewinienia zawieszano na szyi hańbiące kamienie

Kobiety i zbiegli przestępcy

Intrygującym przykładem karania miejskich przekupek, które nawzajem obrzucały się obelgami, była konieczność niesienia przywiązanego na szyi kamienia – czasem „ozdobionego” płaskorzeźbą twarzy ludzkiej z wyciągniętym językiem – i pokonania z nim określonej trasy. Znane są również przypadki ukarania cudzołożnic noszeniem hańbiącego kamienia w kształcie fallusa.

Prawa człowieka

Te wybrane przykłady tradycyjnych form wykonywania kar na honorze wskazują, jak pomysłowi byli ludzie w wymyślaniu sankcji, mających sprawiać przestępcy dolegliwość nie tylko fizyczną, ale przede wszystkim uderzać w sferę jego psychiki. We współcześnie obowiązującym kodeksie karnym kary na honorze oczywiście nie zostały przewidziane. Drobną ich namiastkę odnaleźć można w katalogu środków karnych – jednym z nich jest podanie wyroku przed sąd do publicznej wiadomości. Z uwagi na surowe rygory obowiązujące w powszechnym i europejskim systemie ochrony praw człowieka, jak i na gwarancje konstytucyjne – tematyka kar na honorze pozostaje już wyłącznie przedmiotem badań historii prawa i archeologii prawnej.■

Tematyka poruszona w artykule została szerzej przedstawiona w pracach Witolda Maisela: *Archeologia prawa Europy*, Warszawa-Poznań 1989 oraz *Archeologia prawa Polski*, Warszawa-Poznań 1982.

KAROLINA MALECKA

SŁOWIAŃSKIE ŚWIĘTO MIŁOŚCI

Nadchodzi od dawna już wyczekiwany dzień, 21 czerwca. Młodzieńcy z całej wioski zbierają drewno i idą nad wodę, a jeśli nie ma w pobliżu rzeki – na wzgórze lub polanę, by potem rozpalać ogniska. Po zmierzchu będą przez nie skakać, by pokazać, co potrafią. Dziewczęta już od rana plotą wianki i zbierają zioła, wesoło podśpiewując i wygrzewając się w słońcu. Każda z nich chce tego dnia wyglądać jak najpiękniej i w duchu marzy o swoim wybranku. Bo kto wie, co się dzisiejszej nocy wydarzy...

W ustalonym wcześniej miejscu zbiera się coraz więcej ludzi. Są już grajkowie, którzy będą umilać czas muzyką, bo przecież przez śpiew i taniec człowiek najlepiej wyraża radość życia. Nadciągają starsi, którzy będą całą noc wesoło biesiadować. W tę noc nikt nie powinien spać. W końcu wokół ognisk zbiera się wystrojona na tę okazję młodzież. Dziewczęta ubrane na biało, z zielonymi wiankami na głowach, tańczą, śpiewają pieśni na cześć boga Kupały i obserwują śmiałków, którzy odważyli się na skok przez ogień.

Tańce, hulanki, swawole

Każda rodzina rozpala swoje ognisko. Palenie tzw. sobótek należy do jednych z najważniejszych zwyczajów tej nocy. Ogień ma mieć cechy oczyszczające, dlatego skaczący zawisa na moment nad ogniem, by uzyskać symboliczne oczyszczenie¹. Do ognia wrzuca się zebrane wcześniej zioła: bylicę, lopian, czarny bez, dziurawiec i inne, których dym ma chronić przed chorobami, czarownicami i wszelkim złem². Czasem młodzieniec skacze z panną – jeśli próba się uda, wróży im to udane małżeństwo i wierność aż po grób. Innym razem młodzieniec stara się porwać pannę, bo wie, że w to święto nie spotka go żadna kara. Rozbrzmiewają dowcipy, żarty, głośnie śmiechy i frywolne pieśni o topielicach, rusalkach, miłości i weselu. To jedyna noc w roku, kiedy starsi patrzą przez palce na rozpustę. Choć duchowni grzmiały z ambony, ludzie wierzą, że grzech w tę noc nie zostanie poczytany, a splodzone dziecko św. Jan Chrzciciel otoczy opieką.

Skoro w przyrodzie wszystko jest płodne, to i wśród ludzi powinna panować miłość³. Jednak dziewczicom odradza się udział w sobótkowych obrzędach. One chętniej wróżą sobie przyszłość.

Która pierwsza wyjdzie za mąż?

Rzucanie wianków na wodę to najbardziej rozpowszechniony zwyczaj, który niekoniecznie musi się wiązać z utratą panińskiego wianka. Dziewczęta przywiązują wiazanki z kwiatów i polnych ziół do deszczek, zapalają ustawione pośrodku świece i rzucają je na rzekę. Jeśli wianek płynie bez przeszkód albo wylawia go ukochany – wróży to ślub i szczęście. Za mąż pierwsza wyjdzie ta, której wianek pierwszy dopłynie do wyznaczonego celu. Najgorzej, jeśli zapłaczę się w zaroślach, zatonię lub zgaśnie ustawiona na nim świeca – w takim przypadku pannę może czekać nawet staropaniństwo⁴. Innym sposobem na dowiedzenie się, jaka przyszłość czeka parę zakochanych jest rzucenie na wodę dwóch kwiatów bez lodygi, najlepiej stokrotek. Jeśli kwiaty będą płynęły razem – młodych czeka dużo radości i miłości, jeśli kwiaty

popłyną w różne strony – zakochanych czeka rozłąka⁵.

Dla panien niezwykle znaczenie ma roślina z rodziny paprotników – nasięźrzał, rosnący na leśnych polanach, który miał zapewnić im szczęśliwą miłość. Dziewczęta o północy zrywają roślinę, rozbierają się do naga, rozpuszczają włosy



Skoki przez płonące ognisko były jednym z wielu zwyczajów podczas Nocy Świętojańskiej

1 <http://www.wici.info/modules.php?name=News&file=article&sid=157> [dostęp: 22.05.2011].

2 <http://www.wianki.krakow.pl/pl/3/47/51/woda-i-ogien> [dostęp: 22.05.2011].

3 E. Ferenc, *Świętego Jana Chrzciciela* [w:] *Polskie tradycje świąteczne*, Poznań 2000, s. 147.

4 R. Hryń-Kuśmirek, *Noc cudów* [w:] *Polskie tradycje doroczne*, Poznań 2006, s. 76.

5 <http://donbass.ua/news/home-and-family/holidays/2009/07/06/misticheskaja-noch-na-ivana-kupala-vremja-gadat.html> [dostęp: 22.05.2011].

i kąpią w rzekach, jeziorach lub nocnych rosach, trzymając liście rośliny i wypowiadając miłosne zaklęcie: Nasięźrzele, rwę cię śmieie, pięcią palcy, szóstą dłonią, niech się chłopcy za mną gonią!⁶

Zakwita tylko raz

Najbardziej pożądaną rośliną tej nocy jest jednak kwiat paproci, który zakwita tylko raz w roku – właśnie o północy w czasie przesilenia letniego. Młodzi śmiałkowie nocą udają się na poszukiwania. Kwiat ma ukazać drogę do tajemniczego skarbu, a temu, kto go znajdzie, zapewnić bogactwo, szczęście, miłość „aż po grób”, mądrość, a nawet nadprzyrodzone zdolności, takie jak przewidywanie przyszłości czy umiejętność bycia niewidzialnym. Poszukiwania magicznego kwiatu odbywają się w tajemniczej atmosferze, często towarzyszą temu miłosne wyznania, bo poszukiwanie kwiatu to dobry pretekst do spaceru z ukochaną. Kwitnącą paproć znajdzie tylko największy zuch. Według legend ma być to osoba młoda, cnotliwa, pracowita, odważna, prawdomówna. To nie lada wyzwanie – w końcu paproć zakwita tylko na moment, a dostępu do niej bronią różne demony⁷.

Magiczna moc wody

W tym czasie nie tylko ogień, ale i woda nabiera szczególnej mocy. Dziewczęta kąpią się o północy, bo zanurzenie się w wodzie w noc świętojańską, jeszcze przed wschodem słońca, ma zapewnić zdrowie, miłość, szczęście, macierzyństwo. Zresztą, dopiero od świętego Jana, który 24 czerwca chrzci wodę i odpędza złe demony żyjące w strumieniach i jeziorach, kąpiel jest bezpieczna. Wcześniej nie jest wskazane kąpać się w zbiornikach wodnych i rzekach, ponieważ człowieka mogą wciągnąć topielce⁸. Teraz już nic nie grozi.

Owiane tajemnicą

Właśnie tak prawdopodobnie wyglądały coroczne uroczystości w najkrótszą noc w roku. Jak jednak przyznaje manager Orkiestry Świętego Mikołaja UMSC pani Agnieszka Matecka: „Możemy sobie tylko wyobrazić, jak wyglądało obchodzenie Sobótki i innych świąt związanych z religią słowiańską – często to tylko hipotezy. Nie mamy wielu źródeł pisanych i zbiorów materialnych dotyczących tego święta. Najwcześniejsze wzmianki o Sobótkce pochodzą z XIII wieku. Ze średniowiecznych źródeł jasno wynika, że zwyczaj te były potępiane przez Kościół, m.in. ze względu na panującą w tę noc rozwiązłość. Na przełomie XIV i XV wieku zostały oficjalnie uznane za pogańskie. Za najbardziej wymowny można uznać dekret wydany w 1468 roku przez króla Kazimierza Jagiellończyka, który zakazał odprawiania tych praktyk na Łysej Górze”. Ten jeden z najbardziej zagadkowych obrzędów pogańskich jednak nie zanikał, nawet przez kilka wieków po przyjęciu przez Polskę chrztu, mimo wielu zakazów ze strony Kościoła.

Nazwa

Sobótki (nazwa od „sobótek” – ognisk palonych tego wieczoru lub jako oznaczenie „małego sabatu”), które nazywano też Nocą Kupaly lub Kupalnocką (prawdopodobnie od imienia Kupaly – bogini miłości lub od słowa „kąpać”, albo też od indoeuropejskiego „kump” oznaczającego zbiorowość) obchodzono w najkrótszą noc w roku, czyli zwykle z 21 na 22 czerwca i pierwotnie były one poświęcone pogańskiemu bogu Słońca – Dadźbog⁹.

Skąd „noc świętojańska”? W czasach chrystianizacji Europy, nie mogąc wykorzenić pogańskich praktyk, nadano tej nocy jako patrona św. Jana Chrzciciela i ustanowiono wigilię św. Jana na dzień 23 czerwca. Wybór daty obchodów urodzin św. Jana nie był przypadkowy – został oparty na biblijnych słowach anioła Gabriela, który podczas Zwiastowania powiedział Maryi, że Elżbieta jest w szóstym miesiącu ciąży. Święto narodzenia św. Jana zostało więc ustanowione na dokładnie 6 miesięcy po Bożym Narodzeniu, czyli na pierwszy dzień astronomicznego lata¹⁰.

Wczoraj i dziś

„Sobótką zawsze nas pociągala swoją magią, tajemniczością – zauważa pani Agnieszka Matecka. – Najdłuższa noc w roku, dawne Gody, dziś zbiegają się w kulturze chrześcijańskiej ze świątami Bożego Narodzenia. O zwyczajach nocy świętojańskiej zapominamy. A warto je kontynuować. W Polsce tradycje związane z Nocą Kupaly zaczęły zanikać w XVIII wieku, chociaż na wsiach czasem obchodzono to święto do I wojny światowej. Obecnie w krajach skandynawskich najkrótsza noc w roku, a tam przecież wyjątkowo krótka, jest dniem wolnym od pracy, świętem towarzysko-rodzinnym. Na Ukrainie Huculi nadal świętują, bawiąc się przy muzyce na wzgórzach. W Polsce od niedawna zaczynamy wracać do tradycji, sięgać do korzeni. Noc Świętojańska jest okazją do organizacji koncertów i pikników, połączonych na przykład z puszczaniem wianków na wodę. Czasem nawet pamiętamy, żeby nie kąpać się do św. Jana w otwartych zbiornikach”.

W Lublinie będziemy mieli możliwość na chwilę przenieść się w przeszłość. Orkiestra Świętego Mikołaja organizuje koncert związany z Sobótką. W dniu 21 czerwca od godziny 18:00 pod Chatką Żaka będziemy mogli posłuchać zespołów takich jak: „Miatlica” z pieśniami białoruskimi, celtyckiego „Lia Fail”, a także „Persival” (muzyka wczesnośredniowieczna, słowiańska i wikingów) oraz „Pchelki” (muzyka ludowa z elementami trip hopu). Swoje rzemiosło zaprezentują również inni artyści ludowi. Planowane jest ognisko i wyplatanie wianków.

W przeszłości Sobótką była nocą mistyczną, tajemniczą, świętem wody, ognia, życia, radości. Ale świat poszedł naprzód. Dawne tradycje odchodzą w niepamięć. Warto jednak zachować co nieco z tego zwyczaju, żeby poczuć magię tej jedynej w swoim rodzaju nocy letniej. A wyjątkowa romantyczność Nocy Kupaly może stanowić alternatywę dla zachodnich walentynek.■

6 R. Hryń-Kuśmierek, dz. cyt., s. 76.

7 <http://forum.dpni.org/entry.php?b=137> (por. *Polskie tradycje świąteczne*, B. Ogrodowska) [dostęp: 22.05.2011].

8 E. Ferenc, dz. cyt., s. 148.

9 <http://www.nocswietojańska.swięta.biz/> [dostęp: 22.05.2011].

10 E. Ferenc, dz. cyt., s. 145.

EWA ŻYDEK

DWA OBLICZA MSZY

Trydencka, a więc tradycyjna. Posoborowa, czyli bardziej nowoczesna, postępową. Takie mamy wyobrażenie o mszy świętej. Chyba warto wiedzieć, gdzie kończy się mit, a zaczyna prawda.

Nasze pokolenie nie pamięta sprawowania mszy świętej trydenckiej, gdyż po Soborze Watykańskim II (1962-1965) celebrowanie liturgiczne uległo znacznym przeobrażeniom. To, co nam wszystkim znane – msza w języku ojczystym, kapłan odprawiający zwrócony twarzą do wiernych, a tyłem do tabernakulum – wchodzi do Kościoła dopiero od lat 70. XX wieku. Papież Paweł VI, który wraz ze zgromadzonymi na soborze kardynałami i biskupami chciał zwiększenia rozwoju życia chrześcijańskiego i większej dostępności dla wiernych, zezwolił więc na wprowadzenie na całym świecie mszy „ulożonej” przez zespół pod kierownictwem abpa Hannibala Bugniniego.

Nowa msza (posoborowa)

Novus Ordo Missae (nowy ryt mszy św.) obowiązuje w Kościele zachodnim od 1969 roku. Porządek takiej mszy można podzielić na cztery części: obrzędy wstępne, liturgię słowa, liturgię eucharystyczną i obrzędy końcowe. Msza sprawowana w dniu powszednim różni się nieco od tych niedzielnych czy świątecznych, chociażby w wyznaniu wiary (*credo*), które pomija się w codziennych

mszach. Dodatkowo w dni uroczyste czytane są dwa czytania i prawie zawsze wygłaszane jest kazanie lub homilia. Najważniejszą częścią jest jednak modlitwa eucharystyczna. Ze zreformowanego Mszału kapłan może wybrać jedną z czterech – najczęściej można usłyszeć wersję najkrótszą.

Istotny element stanowi oczywiście komunika. W kościołach, w których sprawuje się ten ryt, jest ona przyjmowana na stojąco, zazwyczaj do ust, choć zdarza się i na ręce. W wielu kościołach komunii udzielają nie tylko księża, ale i szafarze nadzwyczajni komunii świętej, a więc np. osoby świeckie specjalnie do tego wyznaczone przez proboszcza danej parafii. W mszach posoborowych spotykamy się z akompaniamentem gitar, a nawet perkusji czy keyboardów. Można mówić wręcz o dominacji muzyki świeckiej. Jeśli chodzi o śpiew, to często przewodniczą mu niewielkie grupy wokalne (*schola*).

Msza mniej znana (trydencka)

A czy zastanawialiście się kiedyś jak wyglądała msza, w której uczestniczyli polscy królowie, z której tak wiele czerpali wybitni święci, o której z taką nabożnością wspominają średniowieczni kronikarze?

Mowa o mszy kanonizowanej przez papieża Piusa V. Jest ona nazywana też Mszą Świętą Wszechczasów (papieska bulla *Quo Primum* zezwala wszystkim kapłanom po wsze czasy sprawować mszę w tym rycie, bez narażenia się na jakiegokolwiek kary kościele) lub mszą trydencką, gdyż to właśnie podczas Soboru Trydenckiego (1545-1563) papież Pius V skodyfikował jej ryt. Oznacza to, że nie „stworzył” jej od nowa, tylko ustalił odpowiednim dokumentem, jak sprawowany ryt ma wyglądać w obliczu różnorodnych interpretacji.

Msza rozpoczyna się modlitwami u stopni ołtarza. Na prezbiterium następuje odmówienie modlitw i hymnów w językach łacińskim i greckim. Później odczytywana jest lekcja i Ewangelia. W tym momencie może nastąpić przerwanie mszy, w celu wygłoszenia



Msza w obrządku posoborowym



Msza w obrządku trydenckim

kazania. Kazania wygłasza się z ambon bocznych, jeśli znajdują się w kościele. Po kolejnych modlitwach, nadchodzi moment na Ojcie Nasz, które odmawiane jest tylko przez celebransa z wyjątkiem ostatniego versu, który wypowiadają z nim wierni. Niezwykle poruszająca jest chwila Przeistoczenia. Kapłan modli się cicho wspomnianym już Kanonem rzymskim, a wierni w ciszy klęczą i celebrują ten moment. Następuje komunika kapłana, a w drugiej kolejności wiernych. Przyjmowana jest ona wyłącznie w pozycji klęczącej, przekazywana bezpośrednio do ust przyjmującego. Msza Trydencka kończy się błogosławieństwem i odczytaniem początku z Ewangelii św. Jana. Całości towarzyszy chorał gregoriański. Istotne jest też, że w odróżnieniu od posoborowych mszy, w tej tradycyjnej nie ma możliwości koncelebry, a inni księża mogą służyć jedynie jako diakoni.

Przedsionek sacrum na al. Kraśnickiej

Wierni nie zawsze o tym wiedzą, jednak w Polsce można uczestniczyć w takiej mszy. Porządkiem tym posługują się środowiska tradycyjne Kościoła katolickiego, a więc m.in. Bractwo Kapłańskie św. Piusa X, Bractwo Kapłańskie św. Piotra czy Instytut Dobrego Pasterza. Także

w Lublinie, co niedzielę o godzinie 16.30 przy al. Kraśnickiej 46 w kaplicy p.w. św. Stanisława Kostki odprawiana jest msza trydencka. Wbrew istniejącej w niektórych kręgach opinii, uczestnictwo w takiej mszy nie grozi ekskomuniką i nie jest żadnym aktem schizmy. Dowodem na to jest chociażby wspomniana wcześniej bulla Piusa V oraz *Summorum Pontificum* czy list apostolski papieża Benedykta XVI traktujący o celebracji mszy według tego tradycyjnego rytu. Osoby chcące wziąć czynny udział we mszy trydenckiej, a nie znające łaciny, nie powinny się zniechęcać. Przed nabożeństwem warto zapoznać się z teksami, które dostępne są na stronie www.pisx.org.pl/liturgia/ordo-missae lub po prostu odczytywać tekst z dostępnych podczas mszy modlitewników, zawierających wszystkie modlitwy w układzie polsko-łacińskim. Ważne jest także stwierdzenie, które potwierdza wielokrotnie tradycjonałści: zarówno księża, jak i wierni, aby zrozumieć Mszę niekoniecznie muszą znać łacinę, gdyż jest ona tajemnicą naszej wiary i to nie język jest tutaj najistotniejszy.

Która lepsza ?

Chcąc skrótnie porównać te dwa rytę, na pewno warto zaznaczyć wręcz kolosalne różnice między nimi, przy niewielkiej ilości podobieństw. Co je zatem różni? Można odpowiedzieć: wszystko. Inny jest język, ubiór kapłanów, wygląd ołtarza, a także porządek mszy. Obie zaś mogą być sprawowane przez kapłanów we wszystkich kościołach rzymsko-katolickich. Obie w sposób godny powinny obrazować Ostatnią Wieczerzę Jezusa i uobecniać Jego Mękę.

Zawsze istnieje możliwość oceny czy coś jest dobre lub złe, lepsze lub gorsze. W tym przypadku taka ocena również byłaby możliwa, jednak pozostawiam wszelkie subiektywne opinie dla siebie, tym samym zachęcając Was do porównania tych dwóch form. Warto się też zastanowić czy w tak szybko zmieniającym się świecie, rewolucjom powinny podlegać zasady, a nawet dogmaty Kościoła katolickiego, czy też powinniśmy w tej kwestii pozostawać tradycjonalistami. Pewne jest, że msza powinna być sprawowana w taki sposób, w jaki chciał tego Pan Jezus.

Wszystkich zainteresowanych tą tematyką zachęcam do lektury *Wykładu o Mszy Świętej* o. Marcina z Cochem, który pokazuje jak przez wieki przeżywana i rozumiana była msza w Kościele katolickim. Także ks. Feliks Cozel podejmuje w swojej książce *Msza Święta* podobną tematykę, a jego rozważania są swoistą oceną nadzwyczajnego i zwyczajnego rytu. Niezwykle interesujący jest także dokument sporządzony przez dwóch kardynałów watykańskich: Bacciego i Ottavianiego, którzy niedługo po wprowadzeniu mszy posoborowej, wydali „Krótką analizę krytyczną Novus Ordo Missae”.■

ELŻBIETA DROZDOWSKA

SERCE DŻUNGLI UCYWILIZOWANE?

„Tradycja stanowi podstawowy, choć nie w pełni uświadomiony kontekst zachowania i refleksji nad nim, w którym funkcje społeczne dominują nad indywidualnymi. Muzyka i taniec stają się nierzadko bezpośrednią manifestacją tych zachowań”.

/Anna Czekanowska, Kultury tradycyjne wobec współczesności. Muzyka, poezja, taniec, Warszawa 2001/

Przez wiele stuleci Afryka Subsaharyjska była bliżej nieznana Europejczykom. Oddzielona od leżącej w obrębie Morza Śródziemnego Afryki Północnej i Północno-Wschodniej naturalną barierą geograficzną, jaką stanowi Sahara, wytworzyła własną, bardzo specyficzną kulturę. Jej badanie nie jest sprawą łatwą – zdecydowana większość zachowanych kulturowych artefaktów pochodzi z XIX wieku. Wcześniejsze zaginęły w czasie zamętów w epoce kolonialnej i licznych wojnach. Niemniej zainteresowanie afrykańską kulturą rośnie, szczególnie względami zaś cieszy się muzyka.

W ostatnich dziesięcioleciach na całym świecie zachodzą głębokie przemiany społeczne i ekonomiczne, takie jak postępująca globalizacja, fale emigracji do krajów zachodnich, konflikty na tle religijnym czy dominacja kultury masowej. Nie mogli tego uniknąć również Afrykańczycy. A jako że w tamtym obszarze „muzyka i taniec stanowią podstawę komunikacji społecznej”¹ oraz są środkiem wypracowywania stosunku społeczności do nowej sytuacji, stało się jasne, że odzwierciedliły się w nich zmiany. Tradycja bowiem, pomimo wykształcenia się muzyki popularnej i masowej, jest w Afryce ciągle żywa i podlega nieustannej aktualizacji, by zaspokajać potrzeby współczesnego człowieka.

Muzyka dawniej...

Charakterystyczną cechą dawnej muzyki było przeznaczenie do wykonania grupowego. Wspólne granie, śpiewanie i tańczenie przyczyniało się do integracji grupy, dawało poczucie przynależności do wspólnoty. Istotne jest to, że widzowie nigdy nie pozostawali bierni wobec przekazu – zawsze włączali się tańcem i klaskaniem. Uważano bowiem, że tylko tańcząc i poddając się muzyce razem z wykonawcami, można prawidłowo odebrać przekazywane informacje. A są to informacje nie byle jakie, bo dotyczące całej społeczności i spraw codziennych, odpowiedzi wypracowywane w dialogu pomiędzy grupami muzyków i tancerzy. Grupy te utrwalają także tradycję, historię rodu królewskiego, zastany porządek społeczny, hierarchię i wartości moralne. Pomimo jednak spełniania tak ważnych funkcji, muzyka służyła równocześnie rekreacji. Nierzadko granica między rytuałem a rozrywką jest trudna do uchwycenia. Taniec, w którym można się w pełni wyrazić, dawał odprężenie fizyczne i psychiczne.

...a dziś

Afrykańczycy najważniejsze ze świąt z kalendarza kultowego obchodzili przez wiele dni. Jeszcze w latach siedemdziesiątych XX w. organizowano wielodniowe festiwale i ceremonie ofiarne, zarówno w wioskach, lokalnych społecznościach, jak i dużych miastach, dokąd przybywano pociągami i ciężarówkami nawet z większych odległości. Jednak zachodzące zmiany, takie jak rozwój przemysłu i wprowadzenie unormowanych godzin pracy, sprawiły, że znacznie ograniczono liczbę tych świąt – wszyscy pracownicy nie mogą równocześnie skorzystać z urlopu by wziąć udział w festiwalu. Potrzeba wspólnoty jest jednak bardzo silna. W zamian pojawiło się więc wiele pomniejszych świąt i imprez organizowanych przez władze państwowe, a najważniejsze uroczystości z kalendarza kultowego (np. *bira* w Zimbabwe – oddawanie czci duchom przodków) nadal są obchodzone, lecz w godzinach nocnych, by w ciągu dnia uczestnicy mogli pójść do pracy.

Nowa tradycja

W przeciwieństwie do dokładnie opisanej i skodyfikowanej muzyki europejskiej, w której dominuje jedno podstawowe metrum, muzyka afrykańska opiera się na improwizacji, wielogłosowości i kształtowaniu wariantów tej samej melodii tak, by odnieść się do aktualnej sytuacji. Poszczególni muzycy mogą grać w innym metrum, „spotykając się” tylko w regularnych odstępach, a mimo to zachowana jest harmonia.

Bardzo duże znaczenie ma zastosowanie tradycyjnych bębnow. Nierzadko rytm bębnow doprowadzał uczestników do transu, a kapłan prowadzący obrzęd zostawał zawładnięty przez opiekuńczego ducha, ku czci którego odprawiano ceremonię. Zdarza się jednak, że ta charakterystyczna kołowa kompozycja i wielogłosowość zanikają. Jest to widoczne przede wszystkim w kościołach zakładanych przez misjonarzy, np. w Ugandzie, przy śpiewaniu pieśni mszalnych. Wprawdzie akompaniują im tradycyjne instrumenty i, w porównaniu do europejskiego stylu, pieśni wykonywane są w żywiołowy sposób. Jednak narzucony układ zwrotek i refrenów wyraźnie uwidacznia w tej muzyce brak improwizacji czy zasady dialogu. Jest to po części wynik konfliktu religijnego pomiędzy chrześcijaństwem a islamem, które opanowują Afrykę. Taki charakter miała między innymi wojna w Sudanie, gdzie jedne plemiona przeciwstawiały

1 Tamże, s. 36.



Gra na djembe jest dziś spotkana nie tylko w Afryce, ale i na całym świecie. Afrykańczycy potrafią rozpoznawać nawet pojedyncze tony bębnow.

się wszystkiemu, co było związane z kulturą arabską, a inne, zislamizowane, były wrogie wobec dawnych miejscowych zwyczajów. Wymusiło to odcięcie się od tradycyjnych wzorów – walczące grupy wołały zaakceptować przyniesione z zewnątrz normy cywilizacyjne niż coś, co należałoby do kultury przeciwników. Interesującą rzecz podaje Anna Czekanowska, pisząc, że pomimo toczonych na tle religijnym wojen, afrykański uczony Mamadou Diouf stwierdza: “jedni [Afrykańczycy] są muzułmanami, inni chrześcijanami, a wszyscy – poganami”².

U źródeł

Animizm i totemizm są bardzo silnie zakorzenione w mentalności Afrykańczyków. Również specyfika religii i muzyki wyraża się w bezpośrednim stosunku do natury, postrzeganiu człowieka jako istoty ograniczonej, podległej prawom przyrody i siłom wyższym. Niezależnie od wydarzeń historyczno-społecznych, utożsamienie się z przyrodą i poddanie siłom z “innego świata” uważa się za

najważniejsze. Powszechne jest również przekonanie o stałym kontakcie pomiędzy różnymi światami a pokoleniami (dlatego tak wielki nacisk kładzie się na kult przodków).

Komunikację ze sferą transcendencji umożliwia właśnie przyroda, która jest pośrednikiem konkretnym i namacalnym. “Drzewa, specjalnie zasadzone przy narodzeniu dziecka, symbolizują życzliwego mu ducha-opiekuna, natomiast drewno pochodzące z drzewa, które reprezentuje określonego ducha, nadaje specjalną rangę sporządzanemu z niego sakralnemu bębnowi. (...) Na stosunek rośliny do dziecka wskazuje jej pomyślny lub ulomny wzrost. A o prawidłowym wyborze drewna na sakralny bęben decyduje reakcja kury, której jajko zostaje rozbite o wskazane drzewo.”³ Używanie bębna wykonanego z drewna (*to drewno jest poświęcone odpowiedniemu duchowi – przyp. E.D.*) poświęconego odpowiedniemu duchowi oraz trans, w który można wejść dzięki jego rytmowi, umożliwiają kontakt z “innym światem”. Nawiązuje się go, aby prosić dobre duchy o opiekę i ochronę przed złymi duchami. By nadać instrumentom szczególną moc i podkreślić fakt, że reprezentują żywe stworzenia, zdobi się je odpowiednimi motywami, takimi jak zwierzęta, oko ducha spoglądającego na nasz świat, a czasem i sylwetkami ludzi. Nieraz nawet kształtuje się je zoo- lub antropomorficznie.

Święte bębny

Bębny dzielą się na szczelinowe i membranowe. Szczelinowe są wydrążone w środku, posiadają szczelinę i często totemiczny kształt. Membranowe posiadają jedną lub dwie membrany i zwykle wyznaczają rytm do tańca. Mogą jednak służyć również do komunikacji. Zagadka mowy bębnow pozostaje dotąd niewyjaśniona, uważa się jednak, że wydają one tony, które Afrykańczycy potrafią identyfikować z sylabami swoich tonicznych języków. Bębny mogą przekazywać zarówno proste informacje, jak i długie poematy opisujące historie rodów dynastycznych. Przypisuje się im funkcję wyrażania krytycznych opinii, a nawet krytykowania mediów. Często przestrzegają przed nadmiernym konsumpcjonizmem i przypominają o powszechnie uznawanych wartościach moralnych. Jednak w związku z zachodzącymi obecnie zmianami i skróceniem czasu trwania obrzędów, bębny coraz rzadziej wypowiadają przysłowia i inne uwagi, częściej zaś ograniczają się do uwag bezpośrednio dotyczących wykonywanego tańca.

Afrykańskie bębny stają się coraz bardziej popularne na całym świecie, ale przepływ instrumentów odbywa się nie tylko z wewnątrz Czarnego Lądu. W ostatnich czasach coraz popularniejsze stają się przywiezione z Ameryki Łacińskiej banjo i gitary, w tym elektryczne. Zdecydowanie jednak odróżniają się od rodowych instrumentów – nie wykazują żadnych związków z totemizmem.

Jaki więc będzie los tradycji we współczesnym, uniformizującym świecie? Szczęśliwie Afrykańczycy są jej świadomi i żyją z nią na co dzień, nie pozwalając jej skostnieć w muzeach.■

2 Tamże, s. 36.

3 Tamże, s. 32.

ANNA RADZISZEWSKA

MADE IN JAPAN

Tradycja w wykonaniu Japończyków? O, to ciekawe! Szczególnie, jeśli wtopiła się w tło życia przeciętnego mieszkańca tego kraju. Już samo jej naruszenie może spotkać się z krytycznymi spojrzeniami. Tym bardziej, gdy wykroczenie zdarzy się *gaijinowi* (jap. cudzoziemiec, osoba z zewnątrz).

*S*ahlins mówi, że ludzie wynajdują tradycję, „posługując się własnymi kategoriami kulturowymi”¹. Wtedy od danej społeczności zależy, co jest warte utrwalenia, a co zaktualizowania. Opis Kraju Kwitnącej Wiśni należy zacząć od podstawowego wyjaśnienia, iż wiele rytuałów, które nabierają znaczenia dla Japończyka, zyskuje dodatkową cześć także na poziomie języka – przez dodanie prefiksu „o-”, co często jest tłumaczone, może nawet niezbyt precyzyjnie, jako „szanowna/szanowne”. I tak oto powstały z tego: *ofuro* (kąpiel relaksująca), *O-bon* (święto zmarłych), a nawet *obento* (drugie śniadanie z rybą i wodorostami własnoręcznie przyrządzone i zapakowane).

Nie ujmę wszystkich hasel kojarzących się z tym państwem, Szczególnie tych przychodzących do głowy jako pierwsza myśl, czyli: samurajów, gejsz i zapasów sumo – z prostego względu – są tak rozległe, że po przeczytaniu kilku książek wydaje mi się, że dalej do końca nie pojęłam istoty tych tradycji.

Umyj się przed wejściem do wanny

Kąpiel (*ofuro*) staje się wyjątkowa dzięki obowiązującym podczas niej zasadom. Nawet naszych codziennych zabiegów higienicznych nie możemy podciągnąć pod ten rytuał. W łazience należy najpierw dokładnie namydlić się i spłukać pod prysznicem, siedząc na małym krzeselku lub stojąc boso na kafelkach. Dopiero gdy obmyjemy się z całego brudu, można wejść do wanny, z naprawdę gorącą wodą, gdzie się zwyczajnie odma. Woda w balii z wycementowanym podłożem jest stale podgrzewana przez gaz z butli do 43-45 stopni Celsjusza. Często też zachęca się do korzystania z *ofuro* razem z innymi członkami rodziny, którzy, podobno, w ten sposób mogą zacieśnić więzy, czując nagość ciał bliskich im osób.

Prócz kąpeli we własnym mieszkaniu istnieje możliwość skorzystania z łaźni publicznych. Możemy wybrać *sentō* (dostępną na każdym osiedlu), *onsen* (mineralne kąpielisko na sejsmicznym terenie) czy *rotenburo* (także *onsen*, tyle że na świeżym powietrzu). Wyznacza się oddzielne baseny dla kobiet i mężczyzn. Z tego wszystkiego wynika, że Japończycy



Tradycyjne drugie śniadanie - *obento*

z nagością oswajani są już od najmłodszych lat. Do kąpielisk wybierają się wspólnie ze swoimi rodzinami, przyjaciółmi, sąsiadami. Na co dzień powściągliwi w rozmowie, chyba przez niezwykle wysoką temperaturę wody stają się swobodniejsi i zrelaksowani.

Zdejmij sandały...

„Stąpięcie na matę chociażby miękkim kapciem byłoby takim samym świętokradztwem, jak umycie się mydłem w japońskiej wannie”². Prawdą jest, że mieszkańcy Japonii ogromnie dbają o czystość. W *washitsu* (tradycyjnym pokoju japońskim) należy zdjąć buty w *genkanie* (przedścionku). Tą oddzielającą przestrzenią jest wysoki próg domu. Za nim zaczynają się maty *tatami*³. Oprócz strony praktycznej, chroniącej matę przed pyłem i brudem, ma to także znaczenie symboliczne – między *genkanem* i *washitsu* powstaje bariera oddzielająca życie domowe od całego zgiełku miasta, więc potrzebne jest oczyszczenie ze sfery „zewnątrznej” podczas wchodzenia do „wnętrza”. I choć coraz częściej *tatami* przykrywane są linoleum czy dywanami, to zwykle się chociaż w jednym pomieszczeniu zachować tradycyjny pokój z ascetycznym wnętrzem.

1 Tworzenie i odtwarzanie kultury. Tradycja jako wymiar zmian społecznych, red. Grażyna Kubica, Marcin Lubaś, Kraków 2008, s. 53.

2 Joanna Tubielewicz, *Japonia. Zmienna czy niezmienna?*, Warszawa 1999, s. 293.

3 Są to maty położone w pokojach, wykonane ze słomy ryżowej. Wymiary jednej wynoszą 186 x 93 cm. Wielkość takich pokoi podaje się przeważnie w ilości mat *tatami*.

Zawsze na tak

Formy grzecznościowe to chyba najobszerniejszy temat w tej kulturze. Wiele niezrozumiałych gestów może śmieszyć: chociażby potakiwanie drugiej osobie, nawet gdy się z nią nie zgadzamy – szczególnie zabawna wydaje się odpowiedź, jakiej zawsze udziela Japończyk, zapytany o to, czy coś pojmuje: „*Hai, wakarimasen*”, co znaczy: „Tak, nie rozumiem”. Dopiero po takiej odpowiedzi może zacząć tłumaczyć, czego nie pojął. Można tutaj zaliczyć również strach przed przyglądaniem się drugiemu człowiekowi – już prędzej znajdziemy Japończyka, którzy w metrze odda się czytaniu mangi, ewentualnie patrzeniu w podłogę lub spaniu. Przypatrywanie się komuś w środkach komunikacji miejskiej jest nad wyraz niegrzeczne.

„Głęboka” grzeczność

Jednak najistotniejsza rzecz to liczne ukłony w najprzeróżniejszych sytuacjach. Na początku nie rozumiałam tej zasady i wydawała mi się raczej niepotrzebna i utrudniająca życie, ale warto się nad nią chociaż ogłędnie zastanowić. Japończycy, po zapoznaniu się ze sobą, wydają się być zdenerwowani i nie za bardzo wiedzą jak zacząć rozmowę. Wynika to ze skrupowania faktem, że nie wiadomo, jakiego stanu jest osoba, z którą mają do czynienia. Dopiero po wymianie wizytówek (na które najpierw trzeba spojrzeć, potem schować, gdyż inna kolejność też jest niegrzeczna) wiadomo już, kto jest osobą niższego stanu, a zatem – kto kłania się jako pierwszy i w dodatku głębiej. Kto ma więc przywilej wyższego statusu? Kolejno są to osoby starsze wiekiem, wyżsi rangą wedle wykonywanego zawodu, starsi koledzy nad młodszymi uczniami i mężczyźni nad kobietami. W tej tradycji jest jednak pełno niejasności i ciągle wydawane są książki o tak nietypowej zasadzie japońskiego *savoir-vivre*’u. Młodsze pokolenia mają ogromne problemy z odpowiednim doбором gestów, mimo iż są tego uczone w szkole i zapewne też w domach.

Pamięć o zmarłych

Wspomniałam już wcześniej o buddyjskim święcie zmarłych, zwanym *O-bon*, w ramach którego 16 sierpnia urządza się pochody, misteria ognia, tańce *bon odor*i poświęcone pamięci osób, które odeszły. Można zobaczyć mnichów ubranych w białe kaftany i lakierowane czapeczki, kobiety przebrane w piękne, świąteczne *yukaty*, wachlarze wetknięte w pasy *obi*. Czasem nawet mężczyźni pokuszą się o nałożenie tradycyjnego stroju. Do ognia *okuribi* wrzuca się długie, drewniane listwy, na których tuszem wypisuje się imiona zmarłych

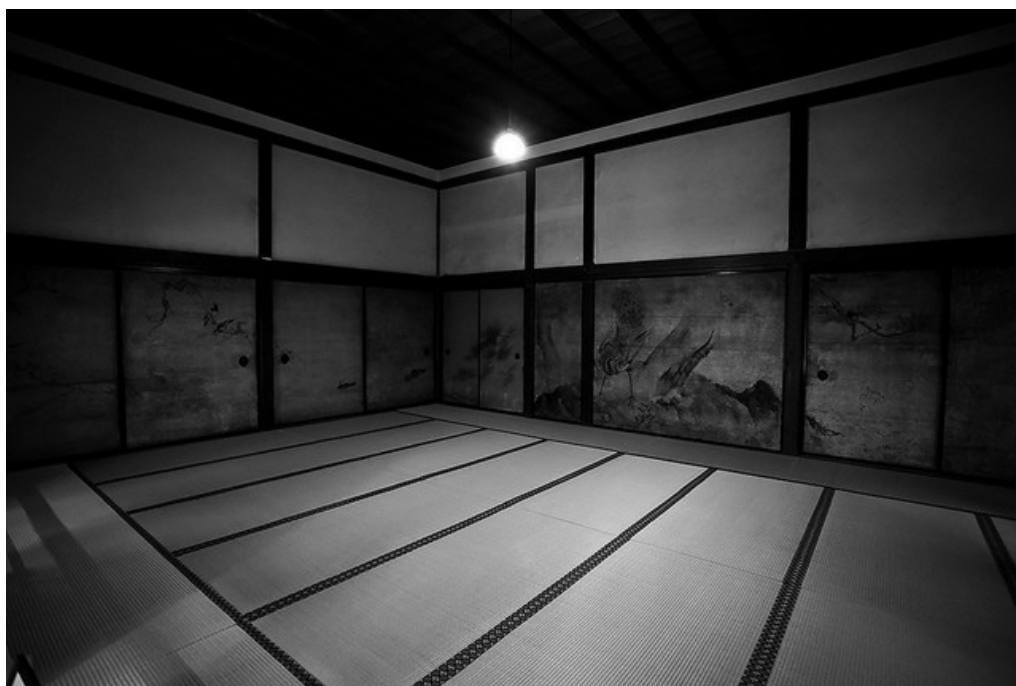
parafian. *Okuribi* są to ognie odsyłające „duchy zmarłych”. Utrzymuje się pełną powagi atmosferę, niepozbawioną jednak ciepła. Jest to najważniejsze święto mieszkańców Kraju Kwitnącej Wiśni, obok Nowego Roku.

Zapis na ścianie

Tak jak religii buddyjskiej przypisywane są święta związane ze śmiercią, tak sprawy życia wiązane są z shintoizmem. Gdy rodzi się nowy członek rodziny, zadaniem ojca jest zawieszenie na ścianie głównego pokoju wykaligrafowanego imienia dziecka. Nowo narodzonego malucha przenosi się pod ołtarz domowy, zawierając go bogom, co ma przebłagać pomyślność w życiu. Zaprasza się na wspólne świętowanie rodzinę i przyjaciół. Goście przynoszą prezenty dziecku i jego rodzicom. Bardzo często zapisuje się, jaki upominek i o jakiej wartości dostało się od każdego, żeby móc zrewanżować się za prezent. Taki rewanż nosi nazwę *okaeshi* (znów przedrostek „o”!).

Automatyczna wróżka

Przenieśmy naszą uwagę na inną stronę japońskiej religijności, a więc w stronę horoskopów, a przede wszystkim – wróżb. Te drugie są powszechne w świątyniach do dnia dzisiejszego. Dawniej płaciło się za wróżbę wyznaczonej do tego osobie, obecnie niemal wszystko zostało zautomatyzowane. Po wyciągnięciu kartki z niepomyślną (według naszych oczekiwań) wiadomością, należy złożyć ją w pasek i zawiązać na drzewie lub krzewie. W przybytkach religijnych fascynuje widok zawieszonych na gałęziach papierków tylko do wysokości, do której sięgają dłonie. Japończycy wierzą, że te przepowiednie mają moc, która przepędza zło, a nawet przywołują dobrą passę. Przychodzą tam więc szczególnie przed egzaminami wstępnymi czy podjęciem pracy.



Tradycyjny japoński pokój tatami – miejsce wyciszenia, charakteryzujące się ascetycznym wnętrzem. Choć do domów w Japonii wkracza kultura Zachodu, to wciąż odnaleźć w nich można takie pomieszczenia.

Ile z tego rozumieją?

Japończycy nie pozbawiają się okazji do kultywowania różnych tradycji. W najrozmaitszych dziedzinach życia, które dla nas nie wyróżniają się niczym szczególnym, potrafią znaleźć coś wartościowego, co wyróżnia ich i stanowi jakiś znak charakterystyczny. I tu pojawia się kwestia dla mnie nurtująca – czy na pewno Japończycy rozumieją, co kultywują? Przytoczone przeze mnie przykłady wydają się dzień w dzień towarzyszyć temu narodowi. Czy skoro przeniknęły do codzienności, albo dodaje się przed wyrazem tak znaczący prefiks „o-”, nie można powiedzieć o szczególnej randze? Przy tym wszystkim zawsze wymagane jest przestrzeganie tych reguł od cudzoziemca. A może chociaż w małym stopniu Japończycy zwracają uwagę na własny udział w obrzędach i celebrują je świadomie? Wydaje mi się, że zależy im na budowaniu więzi narodowej, a ich radość z przebywania we wspólnocie przewyższa chęć zrozumienia niektórych uroczystości. Nie ma ich jednak za co obwiniać, gdyż tak samo mieszkańcom innych krajów możemy zarzucić ślepe powtarzanie obrządków, które zrozumiałe kiedyś dla ich pradziadów, obecnie pociągają ze względów estetycznych. Zresztą, po co się od nich uwalniać, skoro w jakimś stopniu kształtują poczucie solidarności kulturowej? Warto trzymać się tego, co jest przekazywane z pokolenia na pokolenie. ■



Średniowieczny zamek Matsue w Japonii

OŚRODEK SZKOLENIA KIEROWCÓW



Lublin

tel. 535 135 125

WYŚLIJ SMS "LUBLIN"
ODDZWONIMY!



OŚRODEK SZKOLENIA KIEROWCÓW

Lublin

AL. KRAŚNICKA 28

www.osklublin.pl kontakt@osklublin.pl

TAK UCZYMY W **LUBLINIE** ŻE ZDASZ NA EGZAMINIE

**Cena za kurs kat. B:
tylko 950 zł!**

**w tym badania lekarskie,
pomoc naukowe**

**Powołując się
na „Myszliciela”,
otrzymasz 50 zł zniżki.**

EWA SOBIECKA

„ABY ISTNIEĆ CZŁOWIEK MUSI SIĘ BUNTOWAĆ”

/A. Camus/

Gdyby tak zająć się motywem buntu w sztuce i interpretacją takich dzieł jak „Szara Mameluków” F. Goyi, „Wolność wiodąca lud na barykady” E. Delacroix, czy chociażby cyklu „Polonia” A. Grottgera, to zamiast artykułu mogłaby powstać książka. Książka taka nie byłaby pierwszą poruszającą tę problematykę, a wymagałaby pracy niejednego fachowca i w ostateczności zapewne przerosłaby moje umiejętności. Tak więc nie, dziękuję, nad tym tematem popracuję może kiedyś indziej.

Postaram się więc przedstawić, w ogromnym skrócie, historię ciągłej walki, buntu wobec ustalonych zasad, reguł, tradycji, wobec tego, co stare i niedające możliwości rozwoju.

Zmiany w świecie sztuki w dużej mierze są powodowane nie tyle poszukiwaniem innowacji, ile próbą doprowadzenia do tego, by zajęły one miejsce starego porządku. Do tego nie muszę chyba nikogo specjalnie przekonywać. niespokojny barok był bardziej zdecydowaną odpowiedzią na harmonijny renesans niż manieryzm. Miał on zdominować nie tylko świat sztuki, ale także styl życia i sposób myślenia ówczesnego człowieka. Przejście od nie tak bardzo religijnego humanizmu do bogobojnego mistycyzmu sztuki barokowej było poniekąd przewrotem społecznym. Oczywiście generalizuję niezwykle skomplikowane zjawisko, pomijając zarówno etapy pośrednie, jak i mnogość efektów końcowych. Wystarczy chociażby przypomnieć, iż to właśnie w baroku obok potężnej i bujnej sztuki kontrreformacji powstają dzieła w typie palladiańskim, które charakteryzuje również monumentalizm, ale i zdecydowana oszczędność dekoracji.

Przykład kontrastu barok – renesans jest prosty ale wymowny. Czy jednak jedyny? Oczywiście, że nie! Historia sztuki to ciągła walka z czymś albo o coś. Odradzający się stale klasycyzm, czyli efekt zmęczenia nowinkami, chęć „powrotu do źródeł”; romantyzm buntujący się wobec rządów oświeconego rozumu, będący reakcją na zmiany społeczne i polityczne, wyrażający nowe nadzieje...

Zmiany, zmiany, ciągle zmiany i rację ma S. Grochowiak pisząc: **„Bunt nie przemija, bunt się ustaje lub umiera wraz z właścicielem”**. Tak też działo się za każdym razem. Kierunek, styl albo umierał śmiercią naturalną nie znajdując kontynuatorów, albo pomagał mu w tym zadziorny i pełen życia następca. Skostniałe postulaty akademizmu, jego apodyktyczność przyczyniły się do stagnacji w sztuce, powtarzalności i mówiąc wprost – nudy. Konieczny był bunt wobec przyjętej tradycji malarzkiej. Nastąpiła więc eksplozja: impresjonizm, kubizm, fowizm, neoromantyzm, dadaizm, konceptualizm, surrealizm, futurizm, abstrakcjonizm, taszyzm... i tak do

dzisiaj. Bezustanna kontestacja, nieprzerwane poszukiwania. I niby wszystko w porządku, wszystko przebiega prawidłowo, ale czy aby na pewno?

Nie mam zamiaru negować słuszności istnienia jakiegokolwiek tendencji w sztuce, jednakże czy stale przeczenie nie stało się, w niektórych kręgach, racją istnienia takiego a takiego kierunku? Czy samo tworzenie czegoś NOWEGO nie stało się motorem działań niektórych twórców? Nagle wraz z pojawieniem się sztuki performance, body art, junk art, street art, graffiti, każdy mógł się stać ARTYSTĄ. Już dadaizm, którego głównym hasłem było zerwanie z wszelką tradycją i swoboda twórcza ponad wszystko, tworzył dzieła z założenia absurdalne, często po prostu przypadkowe. Jednak dzisiejsza swoboda artystyczna może czasem wprawić w konsternację. Tym bardziej, że **obecnie każdy samowuńczy artysta-fotograf, może zamieścić swoje dzieło na jednej z licznych stron internetowych**, a artysta-performer swoje przesłanie, za pomocą pliku wideo, może skierować do całego świata. Dodajmy do tego małą świadomość artystyczną takiego samowuicznego plastyka czy muzyka oraz jego niezwykle wysokie mniemanie o sobie i własnej twórczości. Wtedy wystarczy niewyedukowany, podatny na efekt „owczego pędu” odbiorca i katastrofa gotowa. Następuje degradacja danej dziedziny sztuki. Co prawda na mikroskali, ale jednak degradacja. Świetnym przykładem ukazania nagej prawdy o świecie działalności artystycznej sterowanej przez rynek, żadne sensacje media i ignorancję odbiorców jest historia wystawy „Life is Beautiful”*. Racja! Czym była ta wystawa? Parodią? Satyrą? Dowcipem? A może, jak chcą niektórzy, próbą komercjalizacji sztuki Banksy’ego czy próbą osiągnięcia przez niego zarobku bez narażania na szwank swojej reputacji streetartowca z prawdziwego zdarzenia? Może wszystko to naraz? Nieistotne. Istotne natomiast jest to, że ta wielka mistyfikacja, przy blisko zerowej wartości artystycznej, sprzedawała się za kilkaset tysięcy dolarów!

Nie twierdzę, że sztuka nie ma już nic do powiedzenia, a wszystkie dzieła są wtórne lub powstają dla poklasku. Nie uważam, że gros kreacji artystycznych powstaje jedynie z chęci wzbudzenia sensacji i dla zysku. Sama co rusz stykam się z twórczością na wysokim poziomie, głęboką, poruszającą, a czasem tylko (a może „aż”) zabawną. Bardzo często znajduję takie perełki w skrytykowanym przed chwilą przeze mnie „artystycznym” środowisku internetowym!

Tendencja do wprowadzania nowości dla nowości i buntu dla buntu zgodnie z wszelkimi prawidłowościami ulegnie pewnie „ustatecznieniu”. Co będzie potem? Któż to wie. Tymczasem, wobec prezentowanej sztuki i nie sztuki pozostaje tylko własny rozsądek. Czy zdrowy? To już zupełnie inna sprawa. ■

HELENA KISTELSKA

POLSKIE ROZDWOJENIE JAŻNI

Bez wysiłku dostrzec można rodzime kuriozum, jakie powstaje w naszym kraju w wyniku rozłamu między przestrzeganiem tradycji, a potrzebą podążania za spływającymi zewsząd nowinkami i trendami.

Trudno stwierdzić, czy takie zjawisko jest typowo polskim tworem, czy też jest to bardziej międzynarodowy kłopot. Niemniej problemy procesów decyzyjnych Polaków, czy postawić na tradycjonalizm, czy może na nowoczesność, kończą się oplakany mi skutkami. Pytanie tylko, czy płaczemy ze śmiechu, czy z żalu...

Parę przykładów, żeby czytelnicy nie mieli wątpliwości, co autor miał na myśli. Święto zmarłych jest obchodzone z większym lub mniejszym rozmachem przez ogromną większość Polaków. Wiadomo – cmentarze, modlitwy, wieniec, znicze... stop! No właśnie – znicze. W temacie zniczy rokrocznie czeka nas niespodzianka, która niezmiennie szokuje kreatywnością i innowacją tych, którzy ją produkują. Nie wystarczy już, że są znicze palące się po trzy doby albo nawet dłużej, gdy są z diodą lub lampką na baterie. Nie wystarczy, że są pomalowane w aniołki, kurczaczki, bazie albo widnieje na nich jakiś mądry aforyzm. **Jak na polską potrzebę nowości to stanowczo za mało, bo teraz modne są grające znicze!** Co grają? Ano na przykład hymn narodowy, pieśni żałobne czy religijne. Do wyboru, do koloru. Więc jeśli zdarzy się Wam iść przez cmentarz i usłyszeć katarynkę, bez obaw, to nie koniec świata, kostucha z kosą nie przyszła po Was w towarzystwie chórów anielskich, to po prostu grający znicz! Czekam tylko na lampki, z których będzie można usłyszeć: „Wstań, powiedz nie jestem sam”, „Znowu w życiu mi nie wyszło” albo recytujące treny Kochanowskiego.

Jezus ze Świebodzina. Jezus jest oczywiście jeden, ten z Betlejem, ale mowa tu o pomniku. I to o nie byle jakim pomniku, bo najwyższym pomniku Chrystusa Króla na świecie! Polacy doszli do wniosku, że nie możemy być gorsi od Brazylijczyków, którzy również mają wielki pomnik Chrystusa górujący nad Rio de Janeiro. Nasz Jezus (bo chyba o to chodzi – my mamy swojego, oni swojego) jest o trzy metry wyższy od tego z Ameryki Południowej. **Czy te trzy metry oznaczają, że Polacy są o trzy metry bliżej do zbawienia niż Brazylijczycy,** czy że ogólnie jesteśmy tak religijnym i świątobliwym narodem, że musimy dać temu upust stawiając sobie największy pomnik Pana Jezusa...? Tego nie wiem, ale pielgrzymujących do Świebodzina czeka nie tylko wstrząsające przeżycie religijne, ale również szereg innych atrakcji. Pod pomnikiem już można kupić dewocjonalia, świebodzińskie pamiątki, watek cukrową i kielbaski z grilla. Trudno przecież wznieść ducha ku niebu, gdy żołądek pusty... W polskiej kulturze obecne jest bardzo silne przywiązanie do wartości religijnych, ale nie możemy ich tak po prostu kultywować, trzeba w tę naszą tożsamość narodową wprowadzić choć trochę nowoczesności, przecież nie można tak po cichu i bez szumu medialnego, więc wznosimy, budujemy, stawiamy i ozdabiamy...

I żeby nie było wątpliwości – to wszystko na większą chwałę Bożą i ku nawróceniu ludu.

Idąc dalej nurtem narodowo-religijnym (proszę się nie obrażać, tak to jakoś u nas w Polsce jest, że te dwie sfery są ze sobą mocno związane), z naciskiem na ten drugi, widzimy jakie możliwości daje nam internet – adoracja Najświętszego Sakramentu online! To nic, że obrazek mały, że od czasu do czasu wyskakuje wyjąca reklama, wybijając nas z kontemplacji i modlitwy. Nie wychodząc z domu, ba, nie ruszając się sprzed komputera, możemy adorować. Jeśli chodzi o sakramenty, to były też pomysły spowiedzi przez internet lub telefonicznie. Wyobrażam sobie to tak: dzwoniemy i słyszymy natchniony głos automatycznej sekretarki: „Szczęść Boże, zagubiona owieczko. Jeśli popełniłeś grzech lekki - wciśnij jeden; jeśli ciężki - wciśnij dwa. **Jeśli żałujesz za grzechy - wciśnij trzy...**”. I w taki sposób mamy możliwość rozpowszechniania konserwatywnych wartości za pomocą najnowszych środków przekazu.

Można by pewnie znaleźć jeszcze niejednego przykład próby nadania starym obyczajom, tradycjom i wartościom ciut świeższego ducha, ale niezależnie od tego, czy nas to bawi, czy nie i czy traktujemy zjawiska, które pojawiają się i znikają jako niegroźne, to takie są prawa marketingu. Warto jednak zastanowić się nad ich skutkami.

Rezultatem takiego mieszania tradycji i zwyczajów z tym, co „trendy” jest zapominanie o tym, co i po co obchodzimy, a także nietroszczenie się o symbolikę znaków, gestów, świąt. **Zapominamy nawet, że wypadałoby chociaż udawać, że święta i symbole, czy to narodowe, czy religijne, powinny być dla nas ważne i przez nas szanowane.** Co można zatem powiedzieć o kimś, kto z okazji katastrofy smoleńskiej wywiesza przed swoim oknem polską flagę z kirem, jednocześnie susząc w tym samym oknie na sznurku swoje mocno sfatygowane, białe majtki z bawełny, rozmiar XL? Flaga wytargana, przemoczona na wietrze i deszczu została zdjeta (a może gdzieś uleciała w przestrachu), majtki zaś trwają dzielnie na posterunku dobytku swojego właściciela.

Może ja nie mam poczucia humoru, może się czepiam i ktoś mógłby spytać: „o co ci kobieto właściwie chodzi?” Powinniśmy się jednak zastanowić nad sensem naszego świętowania i czczenia. Chyba nie o show tu chodzi. W przeciwnym razie nie jesteśmy ani tradycyjni, ani nowocześni; jesteśmy śmieszni i kiczowaci, a jeśli to mają być epitety opisujące naszą tożsamość narodową, to ja serdecznie dziękuję.

Drodzy rodacy! Obawiam się, że jeżeli będziemy próbowali jedną nogą gonić za zachodnimi nowinkami, a drugą pozostać w naszym środkowoeuropejskim klimacie, to niewątpliwie nogi te nam się rozjadą, a my zaliczymy tak zwaną glebę tudzież tożsamościowe dno. I to już nie będzie zabawne. ■

WOJCIECH BRYDA

OPOWIADANIA O HONORZE

Każda książka musi mieć jakiś początek. Ale czy ten początek zawsze ma być momentem jeszcze przed związaniem właściwej akcji? Przecież życie bohaterów toczy się zarówno przed, jak i po wydarzeniach, które poznamy. Widzimy zawsze tylko wycinek.

*M*ario Vargas Llosa w niedawno wznowionej podwójnej książce *Wyzwanie. Szczęniaki* (wcześniej były to dwie oddzielne publikacje) zaznajamia czytelnika tylko z niewielkimi fragmentami kilku odrębnych, pozornie nie mających ze sobą nic wspólnego historii. W każdej z nich już na początku czuje się oczekiwanie na jakiś wielki wybuch, odliczanie sekund. Llosa nie zaznajamia nas z tym, jak owa bomba, która cyka przez cały czas, została zbudowana. Stara się on jednak poprowadzić nas przez fazę rozbijania bomby aż do całkowitego jej unieszkodliwienia lub... wybuchu.

W tekstach portugalskiego pisarza niewiele znajdziemy przykładów mówienia wprost. Więcej tu niedomówień, niepewności niż jasnych faktów. Co więcej Llosa pozwala sobie dwukrotnie (w opowiadaniach *Młodszy brat* oraz *Gość*) na urwanie historii, bez wyraźnego jej zakończenia. Czytelnik staje się tu świadkiem jedynie kilku wydarzeń, przybyszem, któremu dane jest zobaczyć jedną scenę. I tak jak typowemu podróżnikowi, tak i czytelnikowi kończy w pewnym momencie karta pobytu, bilet lub inny papierek pozwalający mu zostać w danym miejscu na dłużej. Musi on wracać do swojej rzeczywistości, zostawiając nawet najbardziej interesujący świat za sobą, porzucając wiele niepoznanych opowieści, zakończeń, dopowiedzeń.

Wczucie się w akcję utworów ułatwia język bohaterów i samego narratora. W sporej części cechuje go styl potoczny (nie mylić ze stylem wulgarnym, który upodobali sobie niektórzy współcześni pisarze). Niezależnie jednak od tego, z jakim stylem mamy do czynienia, jest on zawsze dostosowany do akcji. W przypadku scen z szybkim tempem dominują czasowniki, które mają na celu zdynamizować wypowiedź. Często spotykamy też wtedy zdania proste, nierozwinięte – bo przecież nie ma czasu na wypowiadanie zbyt dużej ilości słów, gdy rządzą nami emocje, a tych w *Wyznaniu* i *Szczęniakach* nie brakuje. Kiedy czytamy spokojne przemyślenia bohatera, zdania są dłuższe i płynniej między sobą przechodzą.

Tych siedem opowieści, jak już wspominałem, tylko na pierwszy rzut oka nic nie łączy. Każda z nich jest historią konkretnego człowieka, jego emocji, walki o swoje dobre imię, honor, kobietę, czy w końcu lepsze życie. Należy tu podkreślić, że charakter postaci autor prezentuje nam za pomocą czynów, nie zaś w charakterystyce bezpośredniej.



M. Vargas Llosa, *Wyzwanie. Szczęniaki*, przekład A. Nowak, C. Marroddan Casas, Kraków 2011.

Możliwe, że pojedyncza historia, wyrwana ze zbioru byłaby niejasna, zbyt nieprawdopodobna. Llosa pokazuje jednak świat, w którym walka na śmierć i życie jest czymś normalnym, a wszelkie uczucia względem drugiej osoby (niezależnie od tego, czy jest to przyjaźń, czy miłość) mają wpływ na działanie bardziej niż rozum. Połączenie tych historii pozwala na lepsze zrozumienie tradycji Portugalczyków – bohaterów książki.

Spośród zebranych w publikacji małych form prozatorskich, *Szczęniaki* szczególnie wyróżniają się sposobem narracji. Llosa posługuje się tu bardzo wprawnie mową pozornie zależną. Początkowo budzi to pewne zastrzeżenia, dziwi, powoduje, że czytelnik zaczyna się doszukiwać przypadkowych błędów tłumacza, edytora, lecz z każdym zdaniem obiorca przyzwyczaja się do tego sposobu mówienia. Ma się tu wrażenie, silniejsze niż wcześniej, że historia chłopca, a potem mężczyzny, który próbuje odnaleźć się w świecie, jest opowiadana na bieżąco przez jakiegoś trzeciego uczestnika wydarzeń.

Wyzwanie. Szczęniaki to tekst, który wciąga. Warto przeczytać go choćby wyłącznie dla mistrzowskiej precyzji, z jaką radzi sobie Llosa w tak krótkich tekstach. Ponadto zmusza on do zastanowienia nad tym, czy potrafimy jeszcze właściwie bronić swoich ideałów, przekonań, a także swoich bliskich i samych siebie?■

MONIKA PARCZYŃSKA

A WIESZCZ SIĘ W GROBIE PRZEWRAKA...?

Ballada wyrasta z preromantycznej fascynacji ludowością i pierwotnością, na gruncie poszukiwania własnej tożsamości w tym, co proste, w kulturze niższych warstw społecznych.

Rozpoczęte w preromantyzmie wędrówki miały na celu gromadzenie wszelkiego rodzaju przejawów ludowości, zapisywanie tekstów i melodii pieśni, obserwowanie zwyczajów i zachowań ludu. W ogólnoeuropejski nurt ludofilstwa wpisał się również Adam Mickiewicz: pisząc ballady czy czerpiąc inspiracje z zasłyszanych na Litwie tradycyjnych pieśni. I choć Bolesław Leśmian nie był zwolennikiem chłopomanii i społecznie zorientowanej inspiracji wszelkimi przejawami działalności prostego ludu, nie można jego twórczości rozpatrywać w oderwaniu od jednego z filarów polskiej literatury, a mianowicie ludowych pieśni.

Problem z muzycznością?

Balladę definiuje się jako „krótki wierszowany utwór epicki na temat niezwykłego zdarzenia, o zabarwieniu lirycznym i o tendencji do dramatycznego, dialogowego ujęcia”¹. Charakterystyka ta odnosi się do najbardziej podstawowych dystynkcji gatunkowych ballady, pozostawia jednak szeroki margines, który wypełniają utwory kolejnych epok, mniej lub bardziej zbliżone do Mickiewiczowskiego wzorca. Ludowa geneza i żywioł literackiej ballady zauważalne są przede wszystkim w świadomym nawiązywaniu do pieśniowego, muzycznego funkcjonowania gatunku – pierwotnie taka forma prezentacji była nie tylko bardziej atrakcyjna dla prostych odbiorców, lecz także ułatwiała wędrownym bardom zapamiętanie tekstów, które osiągały często dość pokaźne rozmiary (muzyka spełniała więc funkcję mnemotechniczną). Dlatego też literackie opracowania tekstów ballad zawierają refrenicznie powracające frazy i strofy, a nawet swego rodzaju cytaty – zapis wokalnych śpiewów i interiekcji². Teksty ballad prezentowane są najczęściej w rytmicznych formach jako wiersze sylabiczne bądź sylabotoniczne. Jest to również oczywiste nawiązanie do pierwotnego sposobu funkcjonowania tego gatunku – paralelność



brzmieniowa poszczególnych wersów jest literackim odpowiednikiem dawnej powtarzalności schematów melodyczno-rytmicznych.

Pieśniowa geneza ballady jako gatunku ujawnia się doskonale w utworach autora *Dziennicy*. Istotną rolę odgrywa świadomość językowa poety – wyzyskiwanie fonicznych i semantycznych właściwości słów, zawsze uzasadnione neologizmy (tzw. leśmianizmy). Nie da się przeoczyć konsekwencji, wynikającej z kształtowania form poszczególnych ballad. Przykładowo – w wierszu *Mał* powtarzalny schemat siedmiowersowy i zachowaną równoległość metrycznych ukształtowań uzupełnia symetrycznie powracający dwuwers „A ty śpiewaj, śpiewuło / A ty zgaduj, zgadulo!”³. Dodatkowym elementem upłynniającym warstwę foniczną tekstu jest gra słowna – wykorzystanie obok siebie wyrazów z tej samej rodziny:

1 *Słownik literatury polskiej XIX wieku*, pod red. J. Bachorza, A. Kowalczykowej, Wrocław 1992, s. 73.

2 Interiekcje są, w dużym uproszczeniu, asemantycznymi frazami dośpiewywanymi do tekstu, na przykład w celu uzupełnienia rytmu – najpopularniejsze z nich to „oj da da na”, „la la laj”, itp.

3 B. Leśmian, *Poezje zebrane*, oprac. J. Trznadel, Warszawa 2010, s. 176.

„śpiewaj” i „śpiewulo” (neologizm budzący skojarzenia z ludowym słowotwórstwem) oraz „zgađuj” i „zgađulo”. Z kolei ballada *Wiśnia* zawiera regularnie powtarzający się refren: „Ach, nie po to się czerwienię, / żeby gasić twe pragnienie!”⁴, zaś utwór „Strój” otwiera i zamyka wariant ośmiowersowej strofy – jest to swego rodzaju klamra kompozycyjna. *Ballada dżiadowska* zawiera zaś asemanacyjne frazy „Oj da-dana, da-dana!”.

Balladomania u wieszcz

Nawiązania do ludowej genezy gatunku pojawiają się również w warstwie semantycznej. Najwcześniejszym i najpowszechniejszym sposobem odwołania do tego rodzaju folkloru jest opracowywanie tradycyjnych wątków podejmowanych w tekstach, pojawiających się w różnych wariantach na obszarze całej ówczesnej Polski⁵. Takiego zabiegu dokonał Adam Mickiewicz. Jednak jego utwory nabierają cech artystycznych, wyzyskując jedynie materiał fabularny ludowych pieśni, niepozostawiając z nich często nic więcej. Mimo to nietrudno zauważyć, że jego zbiór opiera się przede wszystkim na wątkach zaczerpniętych z obiegu ustnego. Nawiązania do ludowości odnoszą się również do pojedynczych motywów, leksyki, standardowych rekwizytów. Popularne stereotypy nieodwzajemnionej miłości i zdrady, winy i kary stanowią wielokrotnie przetwarzane szkielety fabularne ballad. Ludowe asocjacje budzą również typowe postaci: dziewczyna Kasia, młodzieniec Jaś, przedmioty (kwiecista chusta, kwiaty i owoce), a także szczególnie istotna obecność przyrody, która kieruje wzrok czytelnika na naturalne środowisko życia bohaterów ballad.

Jak się ma do tego Leśmian?

Należy w tym miejscu zapytać, w jaki sposób do tego aspektu ludowości odnosi się w swoich wierszach Bolesław Leśmian. Jacek Trznadel pisze:

Jak tego dowiodły poszukiwania szczegółowe, wiele wierszy Leśmiana nawiązuje do motywów literatury ludowej i konkretnych jej utworów. Wykorzystuje je Leśmian różnorodnie, biorąc czasem temat, by utworzyć za jego pomocą zupełnie inny utwór, przeciwstawiony tamtemu rozwiązaniu; słowem, są to raczej aluzje niż zapożyczenia.⁶

Taki stan rzeczy wynika ze specyficznego podejścia poety do ludowości – jej wyzyskanie nie jest dla artysty celem, lecz środkiem, zawiera się w poszukiwaniu pierwotnego wymiaru ludzkiej egzystencji, który jako jedyny może zbliżyć człowieka do odnalezienia prawdy o sobie samym. Ludowe zainteresowania Leśmiana koncentrowały się w dużej mierze wokół szeroko pojętej antropologii

i etnologii – mają one związek z filozoficznym wymiarem folkloru; poeta koncentruje się na mitach i symbolach, twórczo je wykorzystuje.⁷ Nawiązania te bardzo często zaskakują – są one zawsze pretekstem do postawienia kolejnych pytań natury egzystencjalnej. Leśmian odwołuje się nie tylko do tradycyjnych historii ludowych – podobną funkcję pełnią u niego inne, pokrewne gatunki mające w jakiejś mierze wymiar symboliczny, czyli legendy, mity i podania oraz baśnie (tu dobrym przykładem jest znany wszystkim *Kopciuszek*).

Balladowy szczegół

Ballady Leśmiana odwołują się do ludowości również w szczegółach. Pojawiają się tu postaci rodem z wiejskich opowieści – „już to parobek, kochający się w pile, Żołnierz-inwalida, Dziad, Świdryga, Midryga, Migoń, Jawrzon, czy wreszcie dwaj Macieje”⁸, podobne pochodzenie musi mieć również ludowo stylizowany narrator – często bywa on kreowany jako wiejski opowiadacz, śpiewak. „Plecie”, „baja”, „śpiewa”, przez co również staje się postacią wyjętą z codziennego życia prostych ludzi. Ponadto wiele kreacji to raczej typy niż konkretne osoby. Ich nazwy wynikają ze stosunków pokrewieństwa, funkcji czy ogólnikowych charakterystyk (syn, córka, dziewczyna, parobczak) – jest to zabieg uniwersalizujący sytuację liryczną. Typowość dostrzec można również wśród miejsc, w których rozgrywają się wydarzenia (łąka, las, sad) – ich stereotypizacja sprawia, że akcja rozgrywa się w zasadzie „wszędzie i nigdzie”, w mikro- i makrokosmosie.

Jak daleko do Mickiewicza?

Przywoływany zbiór Mickiewicza jest dziełem przełomowym dzięki wykreowaniu i utrwaleniu gatunkowych cech polskiej ballady literackiej. Ustalenie i wybór elementów dystynktywnych nie jest jednak łatwy – sposoby kształtowania tego typu utworów są często właściwe, a wręcz idiomatyczne dla poszczególnych poetów. Michał Głowiński wskazuje na walory, które musi posiadać każda ballada:

„Balladami są utwory narracyjne o wyraźnej strukturze fabularnej. Powiązana z fabularnością narracyjność stanowi wyróżnik podstawowy, choć zarazem bardzo ogólny. Dodamy więc od razu, że fabuły mają z reguły charakter zamknięty, tzn. rozwijają się wychodząc od wyraźnie zarysowanego punktu i prowadzą do równie wyraźnego zakończenia, że składają się na ogół z wydarzeń niezwykłych i że opowiada o nich wyraźnie zarysowany narrator, niemal zawsze należący do świata, który przedstawia, bliski mu i patrzący nań z niewielkiego dystansu”⁹.

4 B. Leśmian, op. cit., s. 178.

5 Istnienie ogromnej liczby wariantów i opracowań poszczególnych wątków można prześledzić w pracach Oskara Kolberga, który grupował zebrane teksty między innymi według ich tematów.

6 J. Trznadel, *Wstęp*, [w:] B. Leśmian, *Poezje wybrane*, oprac. J. Trznadel, Wrocław 1991, s. 21.

7 „Badacze poezji ludowej podkreślają jej charakter symboliczny, jak swoisty typ realizmu związanego z dziedziną mitów i wierzeń.” (Tamże, s. 16.)

8 Tamże, s. 18.

9 M. Głowiński, *O balladach Leśmiana*, [w:] B. Leśmian, *Ballady*, Szczecin 1991, s. 120.



Wiesi była dla Leśmiana miejscem inspiracji

Należy teraz zapytać, w jaki sposób Leśmian realizuje wskazane kategorie, jak funkcjonują one w jego utworach i czy w jakimś stopniu poeta od nich odchodzi. Fabularność jest być może najbardziej tradycyjnym elementem jego ballad – „układają zdarzenia w naturalnie umotywowanej kolejności, dając im jednocześnie miarę stopniowo upływającego czasu”¹⁰. Następstwo przyczynowo-skutkowe stanowi jedną z najbardziej oczywistych, dość konsekwentnie realizowanych przez poetę cech gatunku – staje się on nie reformatorem, lecz tradycjonalistą. W każdej z ballad obserwujemy wyraźnie zarysowane całości, opowieści spójne, często podkreślone przemyślaną pointą. Żywiol narracyjności objawia się nie tylko w obecności narratora-observatora i narratora-komentatora:

wydarzenia dzieją się na naszych oczach, nadrzędność ogólnej zasady kompozycyjnej, myśli organizującej całość, jest wyrażana poprzez konsekwentne kształtowanie formy, podział na strofy, którym odpowiadają całości znaczeniowe. Jak widać, Leśmian nie odcina się od podstawowych kategorii, stanowiących o przynależności gatunkowej ballad, wręcz przeciwnie – w zasygnalizowanych tu kwestiach jest on dość bliski romantycznym pierwowzorom.

Za co lubić?

Twórczość balladowa Bolesława Leśmiana jest silnie zakorzeniona w tradycji literackiej i muzycznej. Przejawia się to, jeżeli chodzi o literaturę, przede wszystkim w wykorzystaniu ustalonego w romantyzmie wzorca gatunkowego i zachowaniu jego dystynktywnych cech. Poeta utrzymuje w balladach niezwykłą symetrię, charakteryzującą się licznymi para-

lelami i powtórzeniami, co jest dowodem na pierwotną gatunkową muzyczność. Tradycja ta przejawia się dodatkowo w wyzyskiwaniu właściwości brzmieniowych języka – zastosowaniu instrumentacji głoskowej, eufonii, gry słów, przemyślanych neologizmów. Ludowa forma poetycko-muzyczna wpływa natomiast na utwory głównie w aspekcie semantycznym – poeta czerpie z folkloru schematyczne wątki fabularne, opisuje powszechnie znane historie, odwołuje się do mitów i podań. Jest to godne podziwu tym bardziej, że zachowanie utrwalałonych wzorców nie przeszkadza mu w nadaniu utworom indywidualnego, nowoczesnego rysu. Być może stanowi to jego największą siłę, dzięki której *Dzienniczka* czy *Dusiołek* czytane są przez kolejne pokolenia. ■

¹⁰ Cz. Zgorzelski, *Wstęp*, [w:] *Ballada polska*, oprac. Cz. Zgorzelski, I. Opacki, Wrocław 1962, s. 71.

DRUKARNIA
wschód
agencja usługowa

www.wschod.lublin.pl

WSCHÓD
Agencja Usługowa
ul. Długa 5, Lublin
tel: 81 744-42-23,
607-372-440

Zapraszamy do korzystania z bardzo tanich usług poligraficznych.

Wydajemy książki, zeszyty, gazetki oraz akcydensy: wizytówki, kalendarze, zaproszenia, ulotki, nalepki w każdym nakładzie.

Rozwiązujemy też problemy związane z przygotowaniem do druku.

MYSZLICIEL

kwartalnik interdyscyplinarny KNS MISH

Podoba Ci się nasza gazeta?

Chciałbyś coś w niej zmienić?

Zapraszamy do współpracy

Pisz na: myszKUL@gmail.com

Szukaj nas też na facebooku.

ROZMAWIAŁ: WOJCIECH BRYDA

SUKIENKĘ USZYŁAM ZE SPODNI TATY

Wydawać by się mogło, że w epoce telewizyjnych tanecznych show jest miejsce tylko dla tańca współczesnego. Istnieją jednak zespoły, które swoimi działaniami przeczą temu stwierdzeniu. O swojej pasji tańczenia i szyciu strojów zgodziła się nam opowiedzieć Sabina Zofia Piątkowska.

Sabino, czy mogłabyś nam powiedzieć co nieco o Zespole Tańca Dawnego, w którym tańczysz?

Sabina Piątkowska: Zespół nazywa się Belriguardo, co po włosku znaczy „piękny widok”. Zespół został założony w Lublinie w 2001 roku przez Małgorzatę i Piotra Wojcieszuków. Obecnie ona jest kierowniczką i naszym instruktorem, a on, jako historyk, służy pomocą przy odtwarzaniu realiów dawnych epok. Chcemy promować kulturę dworskiego średniowiecza, renesansu i baroku. Odtwarzamy nie tylko tańce dworskie z tamtych epok, ale też obyczajowość dworską. Mamy w swoim repertuarze także spektakle teatralno-taneczne, które układane są na podstawie tekstów z danej epoki, np. „Szachów” Kochanowskiego.

Jak trafiłaś do zespołu?

Do zespołu trafiłam jakoś na jesieni w 2004 roku. W zasadzie znalazła go koleżanka, która chodziła na zajęcia aktorskie do Domu Kultury i zobaczyła ich plakat. Co roku we wrześniu, październiku zespół robi rekrutację. Koleżanka stwierdziła, że warto pójść, popatrzeć. Na jednej próbie obserwowałyśmy, a na kolejnej już tańczyłyśmy i to z grupą zaawansowaną! Było niewiele osób z nowego naboru, więc przyłączono nas do wyższej grupy. Tym bardziej, że uczyła się ona nowego tańca. Szło nam całkiem nieźle. Koleżanka musiała jednak odejść z zespołu, bo wyjechała na studia do Krakowa. Ja zostałam do dziś.

Uczyłaś się tańczyć wcześniej?

Tak, gdy miałam 6 lat rodzice zapisali mnie do społecznego ogniska baletowego przy Centrum Kultury, gdzie tańczyłam rok lub półtora. Potem miałam dziesięcioletnią przerwę w tańcu i nawet nie sądziłam, że może mnie to aż tak zainteresować.

To co sprawiło, że jednak wciągnęłaś się w taniec tak bardzo?

Kiedy zaczynałam tańczyć, nie czułam się kobietą. Cały czas miałam pretensje do rodziców o to, że nie jestem chłopcem. Podtrzymywałam w zespole obyczaje, atencja dla dam, opieka mężczyzn nad kobietami sprawiły, że zaczęłam doceniać walory swojej płci. Poza tym zawsze interesowałam się historią

„Cyceron potępiał taniec, ponieważ miał żylaki”



fot. S. Piątkowska (archiwum)

Sabina (w środku) z częścią zespołu Belriguardo

i obyczajowością dawnych epok, całą otoczką obyczajową. Jeżeli mam wolny czas, pomagam też w odtwarzaniu tańców na podstawie różnych traktatów.

Co jest w takim traktacie?

Traktaty te nie są poświęcone wyłącznie tańcowi, lecz także muzyce, obyczajom. Weźmy na przykład traktat *Orchésographie* Thoinota Arbeau z 1589 roku, napisany w formie dialogu między nauczycielem a uczniem, który przybywa do dawnego nauczyciela po studiach w innych krajach i pragnie zrobić karierę na dworze. Aby tak się stało, musi umieć tańczyć i się zachować. Zadaje więc pytania swojemu mistrzowi. Można tam na przykład wyczytać, że Cyceron potępiał taniec, ponieważ miał żylaki. Jest tam też historia tańca, jego rola na przestrzeni wieków. Potem następuje

część o muzyce, o instrumentach, zachowaniu w stosunku do kobiety. Taniec w XVI wieku służył poznaniu przyszłej małżonki. Dawał możliwość bezpośredniego zetknięcia się z kobietą. W traktacie mowa jest o tym, że należy zwracać uwagę na zapach kobiety. Gdy był on nieprzyjemny, kobieta mogła być chora i nie nadawała się na żonę.

Zgłosiłaś się do zespołu w liceum. Są jakieś ograniczenia wiekowe?

Nie mamy ograniczeń wiekowych. Najmłodszy członekowie zespołu są w gimnazjum, a najstarsi mają blisko 40 lat. Istnieje także osobna grupa dziecięca.

Jakieś dodatkowe wymagania...?

Trzeba mieć podstawowe poczucie rytmu. Problemy z koordynacją można skorygować dzięki ćwiczeniom, ale wyczucia rytmu nie da się nauczyć. Choć zdarzają się i w naszym zespole osoby, którym muzyka w tańcu nie przeszkadza. Są one obsadzone w rolach, które mniej wymagają i są mniej widoczne, więc w zasadzie przyjść do nas może każdy.

Z tego, co wiem, to Belriguardo wiąże się nie tylko z dawnym tańcem, ale i dawnymi strojami. Co pozwala na ich rekonstrukcję?

Tak, to prawda, odtwarzamy stroje z epok, z których tańce prezentujemy. Rekonstrukcją ubiorów zajmują się głównie ja. Jest ona możliwa głównie dzięki opracowaniom obcojęzycznym. W Polsce badania nad strojami nie są aż tak zaawansowane jak na Zachodzie, więc trudno o teksty po polsku. Bardzo dużo korzystam też ze źródeł ikonograficznych. Staramy się przygotowywać stroje na tyle wierne realiom, na ile jest to możliwe, biorąc pod uwagę nasze możliwości finansowe. Niestety, niektóre dawniej używane tkaniny są niedostępne lub dostępne w cenach, które przekraczają nasz budżet. Na szczęście, Młodzieżowy Dom Kultury nr 2 w Lublinie, przy którym działamy, wspomaga nas finansowo. Ma on też swoje stroje, które wypożycza.

Korzystacie ze źródeł obcych. Czym różnią się odtwarzane przez was stroje od polskich kostiumów z tamtych czasów?

W zasadzie w epoce renesansu trudno jeszcze mówić o typowo polskim, narodowym stroju. W XVI wieku występowały jedynie elementy ubioru charakterystyczne dla Polski. Na przykład, przez dłuższy niż na Zachodzie czas utrzymały się u nas czepce jako nakrycia głów kobiet. Poza tym kobiety raczej nie nosiły dużych dekolatów.

„...w Polsce traktowano suknię jako sposób ulokowania kapitału”

Było to spowodowane i chłodnym klimatem, i obyczajowością. Królowa Ludwika Maria Gonzaga przyje-

chała do Polski i próbowała wprowadzić modę na głębokie dekolty. Spotkało się to jednak ze sprzeciwem... mężczyzn. Ponadto Polki w XVI wieku lubowały się klejnotach, więc ich suknie były bogato zdobione, wręcz obwieszane dużą ilością ciężkich kamieni. Na zachodzie „moda polska” szokowała przepychem, lecz w Polsce traktowano suknię jako sposób ulokowania kapitału. Gdyby kobieta znalazła się w potrzebie, klejnoty można było sprzedać. Suknie takie były kosztowne. Żal było je wyrzucać po sezonie. Wobec tego przerabiano je czasem lub też bez wprowadzania poprawek noszono dalej, z pokolenia na pokolenie. Nie powinno więc dziwić opóźnienie Polski w modzie.

Czyli nie ma wymogu, aby tancerze mieli wyłącznie polskie stroje?

Nie ma. Ja na przykład mam strój do renesansu wg mody polskiej do renesansu. Był on noszony w Polsce i Niemczech, gdyż moda przenikała do nas zza granicy za czasów ostatnich Jagiellonów, szczególnie Zygmunta Augusta, który miał za żony Habsburżanki. Ale mamy też stroje wzorowane na ubiorach włoskich, francuskich, angielskich. Dobieramy kostiumy ze względu na upodobania osoby, która ma go nosić. Mamy jedynie wytyczne dotyczące czasu, z jakiego strój ma pochodzić.

Kto szyje wam stroje?

Zazwyczaj tancerze szyją sobie stroje we własnym zakresie. Mogą się zgłosić choćby do mnie, bo szyciem też się zajmuję. Nie szyję co prawda wszystkich strojów, ponieważ część jest zapewniona przez MDK. Ale sporą część projektowałam, a niektóre kroilałam. Jeśli chodzi o moje szycie,



Jeden z występów zespołu Belriguardo

to szyję przede wszystkim na prywatne zlecenia. Zarówno stroje damskie, jak i męskie. Zdarza mi się robić coś także dla osób spoza naszego zespołu.

Uczyłaś się gdzieś krawiectwa?

Nie, jestem samoukiem. Uczylam się troszkę z książek oraz na własnych błędach. Smykałkę do szycia odkryłam przypadkowo. Jako dziecko lubiłam szyć ubranka dla lalek. Nawet jako 15-16-latką szylam wciąż ubranka dla lalek mojej młodszej siostry. Kiedy przyszedłam do zespołu, miałam 17 lat. Wszystkie dziewczyny w zespole miały swoje suknie, a ja musiałam je pożyczać z MDK. Pozazdrościłam koleżankom i postanowiłam uszyć sobie własną. Nie miałam o szyciu zbyt wielkiego pojęcia. Znalazłam w domu stare aksamitne spodnie taty, które nosił w czasach hipisowskich oraz zasłony po babci. Składając materiały na sobie, uszyłam pierwszą suknię. Nie była ona mistrzostwem świata, ale tańczyłam w niej z półtora roku, a może dłużej. Drugą suknię uszyłam sobie w 2007 roku.

„Składając materiały na sobie, uszyłam pierwszą suknię”

Jaki jest Twój ulubiony strój?

Jest to barokowa suknia stylizowana na XVII wiek. Szyłam ją na podstawie dostępnych on-line fotografii sukni zachowanej w Victoria and Albert Museum, datowanej na 1660 rok. Zajęło mi to ok. 2 miesiące.

Jak wygląda ta suknia?

Strój składa się z giezła, czyli obszernej koszuli z szerokimi rękawami za łokieć, która służy za bieliznę. Na to nakładana jest halka, która niczym nie przypomina białych halek z koronkami z *Przeminęło z wiatrem*. Jest to po prostu kolejna spódnica, mniej dekoracyjna. Często używano spódnic, które się zniszczyły. Jeśli już halkę szyto, to z materiałów mniej kosztownych. W zimie noszono te z welnianej flaneli. Czasem było ich nawet kilka. Moja halka jest z bawełnianego płótna. Do tego kobieta zakładała pończochy. Sięgały one za kolano i były przewiązywane pod kolanem podwiązką. W XVII wieku już rozpowszechnione pończochy z dzianiny i takie też ja posiadam. Przeważnie suknia miała usztywnienia sama w sobie, choć zdarzał się osobny gorset – usztywniany fiszbinami lub tańszymi materiałami: pękami trawy, wikliną. Używana w epoce trzcinę doskonale zastępują bambusowe pręciki, którymi usztywniłam górę mojej sukni. Na to kolejna nakłada się kolejną spódnice – marszczoną. Spódnice nosiło się kilka, aby ładniej się układały. Oprócz tego buty, które można zamówić u niektórych szewców. Kosztują one dużo: cena pantofelków barokowych oscyluje w granicach 400-500 złotych, tańsze są średniowieczne ciżmy. Ja na razie używam butów dopasowanych w miarę do epoki, lecz nie rekonstruowanych. Każdy z elementów stroju, prócz butów, zrobiłam sama.

I musisz nosić ten strój w czasie całej organizowanej gdzieś imprezy?

To, czy zostajemy w strojach dawnych, zależy od charakteru imprezy. Na jarmarkach obowiązują pełne stylizacje.

Mamy tam wykonać taniec, przeprowadzić warsztaty, zaprezentować stroje. Zazwyczaj pomiędzy tymi elementami nie przebieramy się, bo nie ma na to czasu. Możemy zachowywać się swobodnie, niekoniecznie trzymając się zasad dawnego zachowania. Jednak na imprezach rekonstrukcyjnych musimy zachowywać się jak ludzie z tamtych epok. Nawet jemy z dawnych naczyń. Należy wtedy unikać używania telefonów komórkowych, palenia, kiedy jest się widzianym, bo obozowisko jest dostępne dla wszystkich.

„Należy wtedy unikać używania telefonów komórkowych, palenia, kiedy jest się widzianym”



for. S. Piątkowska (archiwum)

Belriguardo pokazuje nie tylko taniec, ale także sposób zachowania ludzi z dawnych epok

Nie pociąga cię inny typ tańca?

Zespół często jeździ na różne warsztaty taneczne, nie tylko z tańca dawnego. Ważne jest, żeby znać więcej niż jedną technikę, bo wtedy zna się lepiej swoje ciało, bardziej świadomie się je kontroluje. Byliśmy m.in. na warsztatach z tańca współczesnego, lecz nie przypadł mi on do gustu. Dużo przyjemniej tańczyło mi się tango. Mieliśmy też zajęcia z flamenco i klasyki baletowej. Człowiek nie może zamykać się wyłącznie w swojej dziedzinie, bo nie będzie umiał spojrzeć na taniec szerzej, nie będzie w stanie go w pełni go zrozumieć.

Kiedy możemy się spodziewać waszych najbliższych występów?

Na pewno na Jarmarku Jagiellońskim. Jeździmy po całej Polsce i nie tylko, a wstęp na imprezy jest zazwyczaj bezpłatny, więc zapraszam.

Powiedz jeszcze na koniec, gdzie was szukać?

Swoją siedzibę mamy w Młodzieżowym Domu Kultury przy ul. Bernardyńskiej 14a. Posiadamy też profil na facebooku oraz stronę internetową. ■

